

# WIELKA GRA

młodzieżowe pismo  
oświaty niezależnej

WARSZAWA  
lutą 1989 r.  
nr 14

Nie wiem, czy czytałeś "Biesy" Dostojewskiego. Jeśli nie, przeczytaj koniecznie. Ta książka niespodziewanie staje się dla nas ważna. Zapytasz dlaczego właśnie "Biesy"? Czyż wymyślone przez Dostojewskiego postacie rosyjskich spiskowców końca ubiegłego stulecia mogą być interesujące dla młodych ludzi żyjących w końcu wieku dwudziestego? Gdy rozejrzysz się jednak z większą uwagą wokół siebie - przyznasz mi rację. Dostojewski nie wyda ci się ani anachroniczny ani kulturowo odległy. Biesy są bowiem nieśmiertelne, pojawiają się w różnych momentach historii i w różnych punktach globu ziemskiego. Dziewiętnastowieczna Rosja nie miała na nie w żaden wypadku monopolu.

Kiedy pojawiają się biesy? Chyba dokładnie w takich właśnie momentach historii, w jakich znaleźliśmy

Nie warto, jak myślę, poświęcać zbyt wiele czasu sprawom na tyle oczywistym, co marginesowym, jak choćby tym nurtom w młodzieżowej podkulturze, które programowo i bezpośrednio oddają się biesom w władanie. Najbardziej naiwni i prostolinijni, "satanieści", są marginesem młodszej raczej młodzieży. Są to ofiary wielkiego nieporozumienia, dzieci, które głoszą kult zła bo nie miały dotąd okazji poznać wartości dobra i piękna, miłości i prawdy. Można mieć nadzieję, że dojrzewając uczuciowo i lepiej poznając świat, odrzucą swoją naiwną ideologię. Grupy typu "satanistów" przyciągają na ogół osoby o cechach psychopatycznych, nie mają jednak w tej dziedzinie monopolu. Psychopaci, istoty kalekie duchowo i moralnie pojawiają się we wszystkich środowiskach - są to ludzie niezdolni

**Julia Lasecka**

## Uwaga - BIESY!

się dzisiaj w Polsce: gdy stary ład społeczny już dłużej istnieć nie może, bo osiągnął apogeu rozkładu, a nowy jeszcze się nie narodził; gdy wzrasta nędza młodych i niezasadnie bogactwo innych; gdy zwykłych spokojnych ludzi ogarnia poczucie bezradności, a drapieżnych opanowuje nieposkromiona żądza bogacenia się kosztem innych. W takich momentach zaciera się w ludzkiej świadomości pojęcie tego co dobre, a co złe, gubi się jasne i szczerze do niedawna poczucie sensu wspólnego działania, środki pokojowe wydają się skompromitowane, a osobnikom niecierpliwym marzyć zaczynają się czyny gwałtowne i krwawe. Biesy czekają na moment, gdy wiezy porozumienia pomiędzy ludźmi zaczyna rwać się ostatecznie, gdy miejsce zaufania zajmie wzajemna podejrzliwość, gdy poczucie solidarności zniszczone zostanie przez indywidualne ambicje, chciwość i bezwzględna rywalizację. Jeśli sytuacja wystarczająco dojrzeje, biesy przystąpią do akcji, grając na ludzkich słabościach: małostkowości, chciwości, żądzy władzy, zawiści, resentymentu. Dla biesów istotne jest, by pogłębiać to, co ludzi dzieli, by do białości rozżarzonych konfliktów interesów, spotęgować nieufność do wymiarów monstrualnych, a przy tym zredukować do zera odruchy moralne, uczucia przyjaźni i życzliwości wzajemnej, zgasić zwykły zdrowy rozsądek i zdolność do racjonalnej, trzeźwej oceny sytuacji. Wszystko to jest potrzebne do tego, by mogła narodzić się... zbrodnia. Biesy bowiem lakna krwi. Szczególnie smakuje im krew niewinna, przelana przez ludzi nie władających już sobą, półświadomych, bezwolnie poddających się woli jednostek najbrutalniejszych, oświeconych żądzą niszczycielską.

Ileż to razy w ludzkiej historii udawało się biesom pchnąć ludzi do tego typu zbrodni. Bez większego, jak myślę, trudu potrafisz wyliczyć te momenty w dziejach, które były chwilami szczególnego triumfu biesów. Nie chce jednak byś teraz zajmował się przeszłością. Chce namówić cię do skupionego namysłu nad chwilą bieżącą, nad twoim rówieśniczym środowiskiem i nad samym sobą. Chce zaproponować ci namysł, zastanowienie się nad tym, co w życiu młodego pokolenia Polaków jest dziś szczególnie zagrożone wtargnięciem biesów.

do zrozumienia o co chodzi w moralności, bo znający jedno tylko kryterium oceny: własna korzyść. Jeśli zabijając człowieka można zdobyć pieniądze na kupno dzinsów lub magnetowidu, nie ma powodu, żeby tego, gdy da się ująć karze, nie zrobić. Zabójcy Janz Strzeleckiego tak właśnie rozumowali. Nie deklarowali się oni ani jako czciciele szatana, ani też jako programowi wyznawcy zła. Byli zwykłymi, roztopionymi w rówieśniczej masie wyrostkami, którym udało się zabić i zabrać łup, ale którym nie udało się tym razem, tak jak w wypadkach poprzednich, uniknąć kary.

Niedorozwój moralny jest dziś wśród młodzieży częstszy niż się sądzi. Nic przy tym nie czyni się, by mu przeciwdziałać. Przeciwnie. Wysoko dotowane instytucje wpajają polskiej młodzieży wzorce psychopatycznego postępowania. Myślę o wojsku, lecz przede wszystkim o ZOMO. Bezwzględność, pogarda dla słabszych, otwarcie przejawiane okrucieństwo wobec bezbronych - to styl, który poprzez codzienną tresurę przyswajają sobie młodzi chłopcy w oddziałach ZOMO. Drżące w zomowcach resztki ludzkich odruchów eliminowane bywają przed akcjami ulicznymi przy pomocy środków chemicznych. W czasie happeningu "Wielkie żarcie", na zapleczu warszawskich Domów Towarowych "Centrum", mieliśmy niedawno do czynienia z popisem takiej sztucznie wyhodowanej i chemicznie spotęgowanej psychopatii. Zomowcy rzucali się z wściekłą, w żaden racjonalny sposób nie dająca się pojąć zaciekłością na swych spokojnych cywilnych rówieśników, którzy usiłowali częstować ich słonymi paluszkami. Bito bez sensu i bez litości, brutalnie, także dziewczęta, kobiety, nawet dzieci. "Jestem pod narkotykami, jestem zdolny do wszystkiego" - krzyczał jeden z umundurowanych młodzieńców, w trakcie znacania się nad bezbronną dziewczyną.

Psychopatyczna mentalność sztucznie hodowana w szeregach "stróżów porządku" nie jest wyłącznie przywilejem młodzieży umundurowanej, szerzy się ona niestety także wśród młodych kontestatorów realsojalistycznego establishmentu. Z niebывалым jej popisem mieliśmy niedawno do czynienia w czasie finałowego

CIĄG DALSZY NA STR. 2

# Uwaga - BIESY!

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

koncertu Mokotowskiej Jesieni Muzycznej w Warszawie, w Dzielnicowym Domu Kultury przy ul. Łowickiej. Grupa skiców dokonała błyskawicznej krwawej pacyfikacji imprezy. Sygnałem do akcji pacyfikacyjnej był atak na gitarzystę radzieckiego zespołu "Auto Dafe" z Archan-gielska. Krzesło rzucone w występującego właśnie na scenie rosyjskiego gościa rozbiło mikrofon i tylko cudem nie wybiło muzykowi oka, raniąc go w twarz. Koncert przerwano, a skiny rzuciły się z kolei na siedzącego wśród publiczności Mulata. Usiłowano go pobić, wołając: "Polska dla Polaków". Gdy przerażony chłopak, który nie był zresztą cudzoziemcem lecz cieniem Polakiem, po nieudanej próbie opuszczenia Klubu, schronił się w pomieszczeniach biurowych, skiny przystąpiły do demolowania budynku i terroryzowania publiczności. Kilku osobników z twarzami zasłoniętymi czarnymi kominiarkami, wybijając szyby wdarło się z zewnątrz do środka. Jeden z nich z wielkim odłamkiem szkła w reku, z okrzykiem: "to za Murzyna", rzucił się na ludzi, siejąc przerażenie i panikę. "Wpadł wymachując szkłem do sekretariatu, gdzie była rodzina z małym dzieckiem - pisze sprawozdawca «Prze-gladu Tygodniowego». - Rozdygotana matka zasłoniła je własnym ciałem (...) Czarek Włodarczyk, instruktor muzyczny, organizator koncertu, zamierzył się na napastnika ze szkłem metalowym stojakiem od popiel-niczki, ale gdy już miał zadać cios, zawahał się. Nie chciał go zabić. Tamten się nie wahał. Błysk szklanej taflki był szybki, jak ostrze gilotyny. Straszliwe uderzenie rozcięło Czarkowi twarz". Napadnięty w ostatniej chwili się schylił i to mu uratowało życie. Napastnik mierzył szkłem w szyję. "Jak to się stało, - pyta publicysta «Prze-gladu» - że kółko skiców sterroryzowało trzech "bramkarzy" i kilkusetosobowy tłum?"

Powiesz: podkulturowe grupy czcicieli brutalności stanowią wąski, niestotny margines młodzieży. To prawda. Coraz częściej zdarza się jednak, że psychopatyczny styl życia upowszechnia się wśród młodzieży

normalnej. W wielu środowiskach jednostki prymitywne i pozbawione skrupułów traktowane są jak swoiste wzory osobowe. Podziwia się ich pewny siebie styl bycia, bezwzględność i cynizm traktuje jako objawy odwagi i siły, której brak tym zwykłym, nieśmiały często, z reguły obdarzonymi moralnymi skrupułami. Za panoszenie się psychopatów, za terror, jaki sieją wśród ludzi, za zatrutowanie przez nich stosunków międzyludzkich odpowiedzialni jesteśmy wszyscy. Musimy też być świadomi tego, że ulegając psychopatycznemu wzorom życia stwarzamy dogodne warunki dla wtargnięcia w nasze życie biesów.

Niestety, ten wrogi humanistycznym wartościom styl życia przenikać ostatnio zaczął także w środowiska młodzieży jednoznacznie opozycyjnej. W czasie manifestacji ulicznych pojawiają się coraz częściej grupy młodych ludzi nastawionych przede wszystkim na wywołanie "zadyzy". Akcje skierowane przeciwko spokojnie początkowo zachowującej się milicji mają wyraźnie na celu sprowokowanie ataku. Chodzi o to, by doszło za wszelką cenę do starcia. Grupa prowokująca ulatnia się przy tym natychmiast, a ciosy milicyjnych pałek spadają na tłum ludzi bezbronych (zdarzyło się to ostatnio conajmniej raz). Nie sadzę, by młodzi ludzie ciskający kamieniami w milicyjne samochody, demolujący komunalne urzędnice, byli jak przypuszczają niekiedy, agentami SB, choć oczywiście nie można tego wykluczyć. Sadzę raczej, że są to ludzie o szczerze opozycyjnych nastawieniach wobec reżimu, lecz jednocześnie зараżeni zomowska mentalnością, podobnie jak ich koledzy z grup skinnerów. Przekonanie, że walka z komuna zmierzając dziś powinna do krwawych starć, które należy prowokować, mieści się w opisanym syndromie psychopatyzacji naszego życia społecznego. Znam młodych ludzi, którzy myślą dziś o gromadzeniu butelek z benzyna i materiałów wybuchowych. Idea walki bez użycia przemocy, tak do niedawna popularna wśród opozycyjnej młodzieży, traktowana jest coraz częściej jak dziecinada, objaw słabości, idealistyczny bezsens.

Można powiedzieć: "no cóż, to normalne - brutalność wywołuje brutalność, młodzi nie chcą być już jedynie ofiarami przemocy, chcą zmierzyć się z przeciwnikiem, a nie tylko przed nim uciekać. Tak więc rozkrecona przed laty spirala przemocy przynosi dziś owoce.

Julian Radziejewicz

## Rozważania o partnerstwie

(fragmenty większej całości)

Jeśli sprzedawca nie mażądanego towaru i zastępuje ów brak miłym uśmiechem, poprawia to samopoczucie klienta, ale nie zmienia faktu, że ten wraca do domu z pustą torbą.

Uśmiecha się przyjaźnie milicjant, wypisując nam mandat za wykroczenie, co nie zmienia faktu, iż wolałibyśmy, żeby tego sympatycznego funkcjonariusza nie było na tym właśnie skrzyżowaniu ulic, przez które fechalnie i bardzo się nam spieszyło.

Miły nauczyciel-funkcjonariusz osładza dzieciom-klientom-i-przechodniom ich uciążliwe obowiązki, ale nie przestaje być funkcjonariuszem, a obowiązki pozostają nadal uciążliwe. W niedemokratycznej placówce wychowawczej należy dać wychowankom przynajmniej złudzenie, że nie są tacy bardzo zniewoleni, jak im się wydaje. Znalezione na to lekarstwo, tak skutecznie leczące, jak woda z cukrem może leczyć świerzb. Lekarstwem tym, surogatem prawdziwej demokracji w wychowaniu, ma być "partnerstwo", czyli pewien szczególny typ stosunku między dorosłym i niedorosłym, uwikłanymi w afere nazywaną "procesem edukacji".

Inne, pokrewne pojęcia, takie jak: styl kierowania wychowawczego, relacje "nauczyciel-uczeń", samorządność w szkole, współgospodarzenie - mają już w pedagogice długą historię i bogatą literaturę. Termin "partnerstwo" jest w tym kontekście raczej świeżej daty, jako coś oznaczającego ideę pedagogiczną. Fakt, że jest ona preferowana na gruncie pedagogiki, psychologii wychowawczej, socjologii wychowania - sugerowałby, że właśnie ta idea idzie znacznie dalej niż inne w kierunku demokratyzacji stosunków między dorosłymi i młodzieżą w instytucjach wychowawczych. Że jest prawdopodobnie i nowocześniejsza niż inne (co nie jest bez znaczenia) i skuteczniejsza (co jest nie do sprawdzenia).

Warto więc przyjrzeć się "partnerstwu" nieco bliżej. Tym bardziej, że za terminem tym kryją się różne znaczenia, znajdujące swój wyraz w rozmaicie pojmowanej i realizowanej praktyce.

Partnerstwo w stosunkach między dorosłymi wychowawcami i niedorosłymi wychowankami rozumiane bywa najczęściej i najszerszej w znaczeniu demokratyzacji

tych stosunków. Uczniowie i nauczyciele, w idealnym modelu tej demokratyzacji, stanowiliby względnie jednolitą społeczność, *sui generis* "stowarzyszenie równych z równymi". Służą temu stosowane w szkołach, już wcale nie eksperymentalnie, zabiegi wprowadzające uczniów do wewnątrz szkolnych instancji, takich jak: rada pedagogiczna, zespół wychowawczy, komisje, komitety organizacyjne itp. Służą temu także próby uczenia nauczycieli w pracach organizacji uczniowskich - koniecznie z prawem głosu takim, jak wszyscy inni, na zasadzie równości...

Nauczyciele i uczniowie niby się umawiają, że nie ma między nimi różnicy w pewnych sytuacjach. Ale przecież tylko w tych sytuacjach! I tylko na zasadzie umowy; bo czy naprawdę nie ma różnicy?

Ani uczniowie, ani nauczyciele nie mogą przyjąć do wiadomości tak oczywistej nieprawdy, że są pod każdą lub tylko pod jakimś "najważniejszym" względem - równi. Żadne tendencje, frazezy ani techniczne zabiegi egalitaryzacyjne nie zmienia i nie zniwelują ewidentnych różnic: wieku, doświadczenia życiowego, wiedzy, pozycji społecznej i zawodowej, formalnie i nieformalnie pełnionych funkcji w szkole itp.

Tak skrajnie pojmowane partnerstwo opiera się więc na fałszywej przesłance: że stosunek wychowawczy może mieć charakter symetryczny. Interakcje między nauczycielem i uczniem polegają na wzajemnych oddziaływaniach - to jest do przyjęcia. Ale nie do przyjęcia będzie teza, że jest to ta sama kategoria oddziaływań. Wychowawca powinien oddziaływać, zmieniając osobowość ucznia lub organizując sytuacje, w których uczeń będzie miał optymalne warunki do samorozwoju. Natomiast aktywność ucznia będzie zawsze w ostatecznym rachunku - uleganiem, odpowiedzią, działaniem wywołanym (co nie musi mieć nic wspólnego z pasywnością czy "reaktywnością"). Nawet jeśli się uda zrealizować założenie, że uczniowie osiągnąwszy określony poziom dojrzałości "sami się wychowują" - to jest to przecież efekt poczynań mądrych wychowawców, którzy potrafili oddziaływać skutecznie.

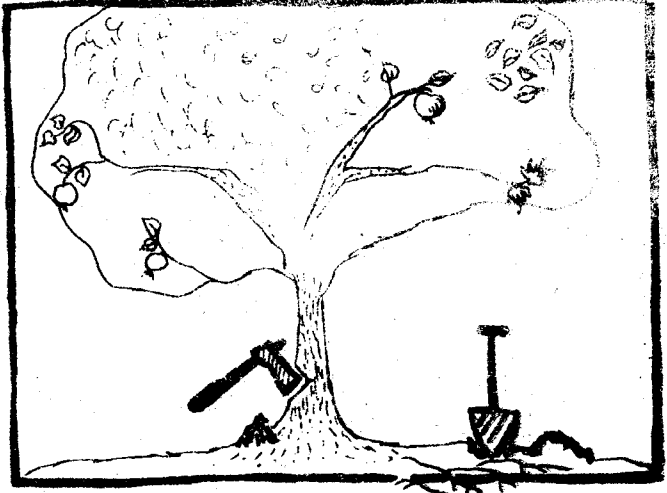
Czy w samej istocie zupełnie niemożliwe jest part-

Sa to zaiste gorzkie słowa. Po pewnym spotkaniu nie powiem gdzie i kiedy, młodzieńczo postanawiając się nad spektakularnymi akcjami, które mogłyby zdynamizować opór społeczny, pobudzając w biernym dzisiejszym społeczeństwie od nowa nienawiść do "czerwonego", z największym oburzeniem mówili o tzw. opozycyjnym establishmentie, dążącym obecnie do porozumienia i kompromisu. Najszkodliwsze "dla sprawy" okazały się w ich opinii obecne działania Lecha Wałęsy, który patronuje zgodzie. "Wałęsa okazał się zdrajcą" - wniosek: trzeba zabić Wałęsę. Te słowa wypowiedziane głośno nie zostały przez zebranych z oburzeniem odrzucone. Zapadły w dusze, otwierając drogę dla wtargnięcia biesów.

- Sprowokować atak policji na tłum demonstrantów "dla dobra sprawy"

- Zabić własnego przywódcę "dla dobra sprawy".  
Przeczytaj Dostojewskiego - znajdziesz tam taki właśnie repertuar, podsuwanych przez biesów środków, które prowadzą do chaosu, ludzkiego nieszczęścia, zbrodni.

Biesy pojawiają się jednak nie tylko wśród anarchizujących miłośników bezpośredniego terroru, sprzyjają im także w porzuconej purytańskiej atmosferze tych narodowo-katolickich środowisk, w których pojawia się ksenofobia, nienawiść rasowa czy wyznaniowa, wrogość, nieufność wobec tzw. obcych. Biesy zerują bowiem na wszystkich, co niszczy ludzką wspólnotę, co karmi się przesadą i nienawiścią. Prawdziwą wylegarnią biesów są środowiska szerzące antysemityzm lub pogardę dla innych, nielicznych już dziś w naszym kraju, mniejszości. Opisane powyżej skiny kupiły, jak widać, ksenofobiczne hasła, jako odpowiadająca im ideologiczną podkładkę dla krwawego spektaklu, który chciały odegrać. Kościół na Zagórnej, w którym młodzieńcy chcą o jasnych, szlachetnych twarzach, nie przestłoniętych czarnymi kominarkami, sprzedawali antyżydowskie publikacje, pełne jadu, najczarniejszego przesady i nienawiści, działali jednak niestety nie mniej w interesie biesów, niż anarchizacyjne zgromadzenie miłośników terroru i żądne krwawych igrzysk kontrkulturowe grupy. Gdy słyszysz pogardliwe: "to Żyd", o kims, kto ma inne poglądy, lub przeszkadza komuś w nieskrepowanej realizacji osobistych ambicji, miej się na baczności - biesy są blisko. Są też blisko, gdy mówi się w podobny sposób o Ukraińcach, Białorusinach,



Rosjanach, Niemcach, o złotych i czarnych... Nie trzeba wiele, by zarazić młodych tym najbardziej absurdalnym rodzajem nienawiści, który, jak wiesz z historii, doprowadził w niedawnej przeszłości do najpotworniejszych zbrodni.

Chciałoby się powiedzieć: miej oczy otwarte, nie daj się nikomu ogłupić, zachowaj trzeźwy sąd o rzeczywistości, zachowaj niezależność w myśleniu, wręczliwość w odczuwaniu, a przede wszystkim odważność niezbędną do tego, by zawsze być sobą. Żyjesz w kraju zniszczonym, zdewastowanym przez głupotę, chciwość, złą wolę i ideologiczny przesąd tych, którzy przez przeszło 40 lat sprawowali nad nami władzę. Poisak od ostatecznej katastrofy uratować mogą tylko ludzie mądrzy, odważni, zdolni do współpracy i solidarności - uczciwi w myśleniu i działaniu, bezinteresowni. Tylko wobec takich ludzi biesy są bezsilne. Szukaj takich ludzi w swoim otoczeniu. Jest ich więcej niż przypuszczasz. Musicie się tylko odnaleźć i dogadać.

Julia Lasacka

nerstwo rzeczywiste, oparte na demokratyczności stosunków między wychowawcą i wychowanymi? W systemie pracy wychowawczej większości dzisiejszych szkół i innych placówek podobnego rodzaju i przeznaczenia, jest to niemożliwe. Pojedyncze próby, przykłady działalności innowacyjnej i odwagi dyrektorów i nauczycieli, jako chlubne wyjątki - potwierdzają tę regułę.

Gdyby w naszych szkołach udało się stworzyć system pracy wychowawczej, w której centralizm sterowania, wynikający z hierarchiczności układu organizacji oświaty, stanowiłby dialektyczną całość z możliwością podejmowania decyzji samodzielnych i oddolnych... Gdyby w szkołach nie płynęły z góry w dół tylko rozkazy, instrukcje, normy i oceny, zaś z dołu do góry - tylko meldunki formułowane z myślą o oczekiwaniach owej "góry" (w klasie szkolnej góra jest nauczyciel, dołem - uczeń); gdyby więc nie było tej góry i dołu, tylko ludzie, którzy wzajemnie czegoś od siebie oczekując, realizują wspólne i tak samo rozumiane cele, razem pracują (razem, choć nie tak samo)... Gdyby wyszły owe źródła konfliktów na tle kompetencyjnym, a nawet dyscyplinarnym...

Może wówczas nie zamykalibyśmy oczu na to, co różni nauczyciela i ucznia, ale umielibyśmy dowiedzieć, że różnice te - choćby znaczne - nie muszą stwarzać i podtrzymywać sztucznego dystansu między dorosłym i uczniem. Dystansu uniemożliwiającego porozumienie, uniemożliwiającego więc i wychowanie, które bez szeroko pojęwanego porozumienia po prostu nie istnieje.

Autentycznie partnerskie traktowanie ucznia, przy jednoczesnym rozszerzeniu uprawnień decyzyjnych w klasach, grupach młodzieży czy w stosunku do pojedynczych osób, jest możliwe tylko wówczas, gdy mamy do czynienia ze społecznością uczniowską i społecznością nauczycielską - na takim poziomie dojrzałości, że będzie ona odczuwała potrzebę wspólnego podejmowania samodzielnych decyzji i będzie umiała z tych przywilejów korzystać.

Z nagle i bez przygotowania demonstrowanym partnerstwem i uprawnianiem młodzieź na ogół nie wie, co począć. Rozpatruje ona to bądź w kategoriach nowych obowiązków, bądź... dziwactw wychowawców.

Stosunki partnerskie podobnie jak samorządność wychowanków nie powstają na zasadzie decyzji kierownicstwa szkoły, ani nawet - jednostkowych decyzji poszczególnych pedagogów. Wyrastają natomiast z tzw. imponderabiliów, a głównie z procesu długotrwałego i delikatnego (jak wszystkie procesy ludzkie), z prawie niedostrzeganego układania się stosunków międzywzajemnych w szkole.

Istota sprawy jest tu odjęcie od stosunku "przełożony-podwładny" i zastąpienie go zycielskim i opartym na wzajemnym zaufaniu i sympatii stosunkiem przyjaciół, którzy chcą i lubią przebywać ze sobą, mimo wszystkiego tego, co ich różni. Jeśli to, co ludzi różni, przestaje ich dzielić - stają się partnerami.

Niektórzy wychowawcy, zwłaszcza młodzie, rozumieją partnerstwo jako pewien styl bycia, tj. w kategorii zewnętrznych atrybutów i zachowań. Partnerzy upodobniają się do siebie. Wychowawca, chcąc zademonstrować młodzieży swój partnerski stosunek do niej, próbuje usunąć zewnętrzne oznaki różnic: ubiera się w dżinsy, zachowuje się młodzieźliwie, przemawia tzw. grypsera. Za wszelką cenę stara się być fajny, kumpowski. W spięciach między uczniami a sądziwym nauczycielem - staje po stronie uczniów, by dowiedzieć, że umie myśleć kategoriami młodzieży, że należy do niej. Jest skłonny do niejednego kompromisu, żeby tylko dystans zredukować do minimum, a nawet całkowicie. Chce być otoczony niby kimś "równym", takiego, co rozumie młodzież, ale nie z pozycji ojca-leca - rówieśników. Tak, jakby młodzieży nie można było zrozumieć patrząc z pozycji dorosłego...

Młodzież dość prędko potrafi rozszyfrować każdą pozę wychowawcy. Wtedy właśnie pojawiają się zachowania uczniów, które wychowawcy klasyfikują jako nieufność, lekceważenie, arogancję. Nie trudno domyśleć się, jakie są tego przyczyny. Wychowankowie chcą widzieć w dorosłym kogoś, kto będzie dla nich szczególnie opiekunem, a nie kogoś, kto podszkwa się pod "fajność" i udaje ich kolegę. Gdyby nauczyciele chcieli krytycznie popatrzeć na siebie (nawet jeśli zaliczają się do młodych), pomyśleliby wówczas zgodnie ze zdrowym rozsądkiem: jacy z nas koledzy dla tych piętnastolatków i jacy z nich koledzy dla nas?

Partnerski, prawie koleżeński sposób bycia nie musi oznaczać udawania nastolatka. Kokieteria - zawsze na ten sam temat - przy pomocy tych samych środków - staje się niesmacznym dziwactwem.

Jeszcze jedno. Zeby w najlepszym znaczeniu być dla kogoś partnerem, trzeba znać dobrze i partnera i siebie. To jest trudniejsze niż wdzianie na siebie wytartego kubaśka w kolorze blue. Ale to - choć trudniejsze - prowadzi do wychowania, podczas gdy przebaranie się "pod..." jest tylko kiepskiej marki teatrzykiem. Wychowanie jest zbyt poważną dziedziną życia społecznego, żeby można tu było iść na kabaret i to w dodatku amatorski.

Julian Radziwiłł

# Rozmowa o wychowaniu w szkole

Przedstawiamy zapis drugiej części rozmowy znanego (także młodzieżowy) pedagoga Juliana RADZIEWICZA, pracownika Instytutu Badań Pedagogicznych i przewodniczącego Komisji Rzecznictwa Praw Ucznia z Marcinem KOSECKIM, młodym nauczycielem licealnym. Tym razem przedmiotem rozmowy jest wychowanie w szkole

**Marcin Kosecki** - Rozmawialiśmy już raz o samorządach. Wydaje się, że większość winy za "leżące" samorzady ponoszą nauczyciele. Podam przykład, otóż niedawno jeden ze znanych nauczycieli opowiadał mi, że jego klasa wywiesiła w gazecie tekst o tym jak bardzo nie- nawidzi szkoły i jak bardzo chce, żeby jej gmach uległ katastrofie. Spytałem znajomego o reakcję - "Oczywiście kazalem to zdjąć!". Ja nie wiem czy to było takie oczywiste, wiem natomiast, że nie będzie już zbyt wielu chętnych do redagowania tamtej gazetki klasowej. A można było przecież postąpić zupełnie inaczej. Znane jest posunięcie dyrektora pewnej warszawskiej szkoły, w której to w gazecie samorządu ukazał się niegdyś ogromnie zjadliwy, nieprzyjemny i wulgarny artykuł - rodeo z jakiegoś podziemnego brukowca. Reakcja dyrektora była, moim zdaniem, mistrzowska - po kilku dniach obok tego "podziemnego" tekstu ukazał się napisany nienaganna polszczyzną, z podkreśleniami, wytluszczzeniami etc. artykuł gromiący z żelazną konsekwencją - a przede wszystkim z ogromnym taktem - zarówno treść omawianego tekstu jak i postawę sprawy całego incydentu, który nawet nie odważył się podpisać. Od tego czasu wszystkie artykuły ukazujące się w szkolnej gazecie zyskały znacznie na poziomie.

**Julian Radziejewicz** - Myślę, że elementem, który wziąć należy pod uwagę przy omawianiu tych zagadnień jest zjawisko poczucia zagrożenia u nauczycieli. Jest to problem związany z ich obecną sytuacją. Wszyscy na nich napadają, wszyscy się czepiają, a tu jeszcze ten smarkacz na czołności... Często w takiej chwili następuje reakcja obronna. Typowa nerwowa reakcja obronna. I często nauczyciel nie rozumie, że jeśli uczeń wstaje i mówi co myśli, to jest to, moim zdaniem, sukces pedagogiczny. Bo to znaczy, że ten uczeń mówi prawdę i z góry zakłada, że może mi tę prawdę powiedzieć, czyli - że nic mu za to nie grozi. Jest to po prostu dowód zaufania.

**M.K.** - Takie kontakty uczeń-nauczyciel reguluje zjawisko zwane dyscypliną. Tak się złożyło, że uczyłem w dwóch liceach - obydwu w Warszawie, obydwu z tradycjami. Różniły się zasadniczo właśnie dyscypliną. W pierwszej obowiązywały spokojne barwy ubiorów, zakaz stosowania makijażu przez uczennice, noszenia wyszukanych ozdób podczas gdy drugie było krzykiem wody młodzieżowej, młodzież siedziała na lekcjach w kurtkach, torby na stołach etc. W pierwszej uczniowie, oczekiwali na nauczyciela w parach a w drugiej - schodzili się przez pierwszych kilka minut lekcji. Z tej pierwszej szkoły mam fatalne wspomnienia - tam się po prostu źle uczyło. Młodzież była spięta, zamknięta w sobie, zupełnie pozbawiona aktywności i inicjatywy. Młodzież z drugiej szkoły, często uciążliwa nadmierną bezpośredniością, szaleństwem pytań nie na temat - była najlepszą zapłatą za wysiłki, a których wiadomo było, że nie idą na marne.

**J.R.** - Jestem za dyscypliną. Dyscyplina wynikająca z uznania normy a nie z obawy przed nią. Taki jednak styl, czego wymaga ta norma to nie był głupie, nie były zły forma represji. Stąd tak ważne jest by ustalić je wcześniej, wspólnie się pod nimi podpisać. Szkoła jest wspólnotą i musi ustalić się jednomyślnie i zwrócić dużo uwagi na to, jak to porządek i po prostu niechęć, jest zjawiskiem, który ludzkom się wy- jawia, nie jest to niebezpieczne są przyczyną wielu drogowych wypadków i innych zdarzeń czy nie. Dla ustalenia takich społecznych przepisów potrzebna jest umowa między uczniami i grupą pedagogiczną.

**M.K.** - Trzeba jednak pamiętać, że umowa z uczniami jest bardzo trudna, rzadko kiedy dotrzymują oni umów, ale jest to normalne. Nauczyciel jest jeden pod- czas gdy uczniów - trzynaście, kilkadziesiąt czy więcej. Nie ma w sumie inne interesy. Liczy się zaistnienie i funkcjonowanie umowy z uczniami, można dopierać w sta- leczność bardzo sgramolone, wstrętne, że umowa musi zbiec. Myślę, że właśnie zadaniem samorząd...

"Wstrętne" może być wstrętne wokół takich umów "spół- nych" - może być wstrętne i "spół- nych" uczniowskiej, należy więc uważać na pewien bardzo istotny aspekt. Jedną z przyczyn, które mogą spowodować osiągnięcia do siebie młodzież, podjąć gdy obecnie na tak mało do zaoferowania - wie konkurencji: dyskoteki, kluby, telewizja.

**J.R.** - Obserwujemy postawy, które nie tylko i- zyczne są to ucieczki w bierność, w "niełwanie", w agresję. Młodzież często uciekała ze szkoły do innych grup rówieśniczych, a dziwna, że przecież w szkole są także rówieśnicy. Ale jest także całe sformalizowa- nie, dzwonek, klasy etc. To tak jak z tym WF-em, z którego młodzież ucieka na sąsiednie podwórko by tam zrobić dokładnie to samo, tylko gorszym sprze- tem, na gorszym boisku ale za to bez nauczyciela. Niewątpliwie błędem jest obecnie to, że szkoła pró- buje przyciągać młodzież tym, w czym wcale nie jest mocna - np. dyskotekami. Dużo lepsze są przecież w- byle domach kultury. Szkoła powinna ściągać młodzież na coś innego. Niestety, klasą szkolną jest obecnie fakt, że nie dysponuje ona żadnym systemem motywacyj- nym ani w zajęciach "pozauczelnijnych" ani też w nor- malnym cyklu nauki. Bodźcem do pracy na pewno nie jest ocena. I bezsensowne jest na pewno chęć aktywiza- cji wszystkich w szkole - aktywne zawsze będą elity, z tym trzeba się pogodzić.

**M.K.** - Ukazał się ostatnio bardzo ciekawy artykuł w "Res Publice" o tzw. ukrytym programie szkoły. Autor pisze tam o celach szkoły zawartych w ustawie Mini- sterialnej i o rzeczywistych efektach jej działania. Jednym z deklarowanych celów jest np. wychowanie mło- dych ludzi na "poszukiwaczy pracy" a przecież szkoła wprost przeciwnie - nie każe niczego poszukiwać tylko po prostu wykuc stąd dotąd, bez żadnych kombinacji. To zakłamanie zostało częściowo wywołane poprzez manipulowanie nauczycielami. Nigdy wcześniej nie przy- puszczałem, że to aż tak wygląda. To znaczy - nikt mnie do niczego nie zmusza ale sam system, sam pro- gram wysusza pewne zachowania. Niejako sam siebie i swoje przedsięwzięcia muszą cenzurować pod kątem "wykonania planu". Paranoja zreszta jest podwójna. Z jednej strony jestem ograniczony przez program, a z drugiej wiem, że i tak na studia moich uczniów nie przygotowuje, że będą musieli brać korepetycje.

**J.R.** - Ten stan rzeczy jest ogromnie dla całego systemu oświaty demoralizujący. Z jednej strony są ogólnodostępne, bezpłatne szkoły a z drugiej powstaje cały rynek korepetycji otwierających drogę na wyższe studia, rynek dostępny tylko dla bogatych.

**M.K.** - Tak zupełnie w skrócie, wydaje się, że kierunki działań ku naprawie szkolnictwa są dwa. Pierwszy to próba zmiany całego systemu szkolnego - jest to zagadnienie ogromnie rozległe i zależne od mostwa czynników, z tego powodu też trudno pokusić się o jakies już gotowe rozwiązanie. Drugim być po- winno dążenie do tworzenia własnych systemów wycho- wawczych w układzie uczeń-mistrz poprzez poszczegól- nych nauczycieli. Warto chyba by w każdej szkole zebrał się nauczyciele mający własne pomysły na rozwiązanie konkretnych zagadnień. Dotyczyć one po- winny ich własnej szkoły, wiele można zacząć przecież na swoim podwórku. Ostatecznie przecież i tak za "produkt wychowawczy" odpowiadają nauczyciele a nie ministerstwo.

**J.R.** - Mało tego, za ten "produkt wychowawczy" odpowiada nauczyciel nie przed kuratorium czy też wizytatorem ale właśnie przed rodzicami i uczniami. To oni właśnie są klientami. I dlatego, jeśli chce się od nauczyciela wymagać, należy dać mu do ręki narzędzia - i to własne narzędzia - oraz swobodę działania. W przeciwnym razie będzie to tylko wyrob- nik a przecież wyrobienie nie znosi kultury. Nie- wątpliwą szansą na poprawę sytuacji są pojawiające się od kilku lat pomysły tzw. szkoły autorskiej. Ministerstwo bardzo się ich przestraszyło, wstrętu i niepewnie mieszkomałowych sprzeciw. Między innymi takie same pomysły, też były, tak samorząd, bierzy- wanie w nich udziału wyprzedzają tylko, że to wzwątko dają- jącemu w ich koncepcji, aspiracji i możliwości. Niezależnie od tego by się w prace takiej szkoły w- szedł.

Na tym punkcie się musi zakończyć rozmowa p. Juliana Radziejewicza z Marcinem Koseckim. Konieczna jest sta- lejsza współpraca między samorządami, samorządami i szkołami autorskimi. Wskazywać na to powinniśmy, a nie na- stępnie czekać na przedstawienie materiałów do komisji próby wyrobienia takiej szkoły w Warszawie. Niezależnie od tego, przedmiotem rozmowy byłaby również...

# Pierwsze Społeczne Liceum Ogólnokształcące

Komitet Organizacyjny pierwszego Społecznego Liceum Ogólnokształcącego działa już w Warszawie od kilku miesięcy. W tym czasie przygotowano dokumenty, które stanowią podstawę ubiegania się o zgodę na powołanie szkoły, statut liceum i program jego działalności oświatowej i wychowawczej. Odbyły się też dwa spotkania członków Komitetu z przedstawicielami Ministerstwa Edukacji Narodowej. Wynik tych spotkań to nabierająca realności nadzieja na otwarcie Liceum już we wrześniu 1980 roku.

Ponieważ zgodnie z obowiązującym ustawodawstwem szkoła nie może posiadać osobowości prawnej, powołano Towarzystwo Przyjaciół Społecznego Liceum Ogólnokształcącego, które stara się w tej chwili o rejestrację. Punkt pierwszy statutu Towarzystwa głosi: "Towarzystwo Przyjaciół Społecznego Liceum Ogólnokształcącego działa w celu założenia, utrzymania i rozwoju Społecznego Liceum. W tym celu Towarzystwo gromadzi środki materialne oraz zdobywa moralne wsparcie od osób i instytucji". Członkami założycielami Towarzystwa są nauczyciele, rodzice uczniów, którzy będą ubiegać się o przyjęcie do Liceum, oraz osoby zainteresowane powstaniem i rozwojem społecznego szkolnictwa w Polsce. Inicjatywa powołania Społecznego Liceum Ogólnokształcącego spotkała się z poparciem pracowników naukowych Uniwersytetu Warszawskiego. Członkami honorowymi Komitetu Organizacyjnego Liceum są m.in. prof. Grzegorz Białkowski, Klemens Szaniawski, Jerzy Szacki, Maria Janion, Zdzisław Libera, Jerzy Grabowski, Henryk Samsonowicz, Wacław Zawodowski a spoza Uniwersytetu - m.in. doc. Zofia Kuratowska, doc. Andrzej Janowski, doc. Aldona Jawłowska. Rektor UW prof. Grzegorz Białkowski zaprosił członków Komitetu Organizacyjnego szkoły na posiedzenie Senatu UW, na którym rozważane mają być formy opieki merytorycznej Senatu nad Liceum.

W chwili obecnej trwają prace nad programami i koncepcją pedagogiczną szkoły. Korzystając z zycji Wpół Wydziału Orientalistyki UW Komitet Organizacyjny Liceum zorganizował na tymże Wydziale cotygodniowe seminaria poświęcone poznawaniu tradycji szkolnictwa alternatywnego oraz pracy nad programem powstającej szkoły. Seminaria odbywają się w każdy wtorek o godz. 18.00 i są otwarte dla wszystkich zainteresowanych. Na dwóch pierwszych spotkaniach plenarnych była mowa o ukrytych programach szkolnych (doc. Andrzej Janowski) i międzywojennej tradycji szkolnictwa alternatywnego na przykładzie szkół antropozoficznych i szkoły na Wiejskiej (dr Krystyna Starcewska), na spotkaniach dwu grup roboczych: humanistycznej i matematyczno-przyrodniczej omawiane są pierwsze wersje nowych programów.

Czym jednakże w istocie różnić ma się Społeczne Liceum Ogólnokształcące od normalnych liceów państwowych?

O zasadniczej różnicy mówi już sama jego nazwa - ma to być liceum społeczne a nie państwowe. Szkoła ma być wspólną własnością uczniów, rodziców i nauczycieli, ma być Rzeczpospolitą. Szkoła rządzić się własnymi prawami, które ustanowia tworząca ją osoba. O wszystkich sprawach Rzeczpospolitej Szkolnej decyduwać ma Rada Szkoły złożona z demokratycznie wybranych przedstawicieli uczniów, rodziców i nauczycieli. Rada Szkoły pełnić będzie, jak głosi Statut, władzę ustawodawczą, dyrektorowi przysługującą będzie władza wykonawcza, zaś władzę sadowniczą spełniać będzie sąd złożony z reprezentantów trzech stanów: nauczycieli, rodziców i uczniów. Liceum ma więc być z założenia praktyczną szkołą demokracji, ma poprzez zasady swego funkcjonowania uczyć młodego człowieka nie tyle biernego posłuszeństwa i formalnego podporządkowania, to swia domęgo przestrzeganie praw ustanowionych przez społeczność, której jest on pełnoprawnym członkiem.

Prawo obowiązywać ma jednakowo wszystkich. Dyrektor szkoły nie będzie stał ponad, czy poza szkolnym prawem. Będzie on wybierany spośród grona nauczycieli na określona kadencję. Z funkcji tej będzie mógł być przy tym w każdej chwili większość głosów odwołany. Nie grozi więc Społecznemu Liceum tyrania dyrektora ustanowionego, tak w szkołach państwowych, przez władzę zwierzchnią na zasad nieograniczonej. Nie grozi też "ciężkie narzekać" ze strony wizytatorów terenowych władz oświatowych, zgodnie ze statutem i obietnicami Ministerstwa Edukacji Narodowej. Liceum ma być powołane na odroczonego pełnoprawnego członka Komitetu

Organizacyjnego, będzie więc w sposób właściwy kierować szkołą.

Wobec wyjątkowej sytuacji szkoły widna jest konieczność podjęcia działań w przedmiocie uczynienia szkoły w pełni samostanowioną w braku korelacji pomiędzy państwowym nauczaniem w szkole dyscyplinarnym, w nadmierze powściągliwym i bezosobym, a potrzebami uczniów, w których otwiera się każdy dzień szkolny nie przedstawiając im miejsca na rozwój autentycznych zainteresowań i pasji, w odrealizowaniu relacji pomiędzy nauczycielem i uczniem, wynikającym z przeobrażenia klas, z racjonalizowania stosunków państwowych w szkole, a wreszcie w sfornalizowaniu samego procesu uczenia się, który jest dla ucznia jedynie przywrócić obowiązkiem, wykonywanym pod przymusem, w lęku przed oceną. Organizatorzy Społecznego Liceum zamierzają szukać sposobów na ubikowanie tych wad szkolnego kształcenia.

Jak więc w Społecznym Liceum nauka ma odbywać się w ramach 16-18 godzinnych bloków? Praca w tak nie licznym szerepie ma w naturalny sposób sprzyjać odrealizowaniu stosunków wzajemnych, umożliwić nauczycielowi indywidualne podejście do każdego ucznia, oszczędzić czas przeznaczony w szkołach państwowych na sprawy proceduralne, organizacyjne, dyscyplinarne. Proces nauczania nie ma być w Społecznym Liceum rozbity na niepowiązane ze sobą przedmioty szkolne, uczone w 45-minutowych jednostkach lekcyjnych, lecz odbywać się w zintegrowanych tematycznie blokach przedmiotowych: humanistycznym, językowym, matematyczno-fizycznym, przyrodniczym i rozwoju psychofizycznego. Idea przewodnią przygotowawczych obecnie programów poszczególnych bloków jest dążenie do ścisłej dyscyplinarnej integracji i jednocześnie dopasowania treści nauczania do zainteresowań i możliwości poznawczych młodzieży w określonym momencie jej rozwoju. W programach duży nacisk ma być przy tym położony na rozwijanie artystycznych uzdolnień młodzieży, na rozwój indywidualnych zainteresowań, a także umiejętności praktycznych (np. prawo jazdy, sztuka gotowania, pielęgnacja niemowląt itp.) oraz na biegle opowiadanie dwóch języków obcych. Zajęcia obowiązkowe mają zostać rozłożone na pięć dni w tygodniu i nie powinny przekraczać pięciu godzin dziennie. Uczeń musi mieć czas na to aby żyć, musi mieć także czas na zajęcia nadobowiązkowe poświęcone samodzielnie wybranej przez siebie specjalności. Nauczyciel ma mu w tym pomagać, będąc niejako do jego dyspozycji w określonym czasie poza obowiązkowym zestawem zajęć. Szkoła zamierza także korzystać z pomocy wybitnych fachowców z różnych dziedzin, zapraszanych zarówno na określone zajęcia obowiązkowe jak i fakultatywne. Znaczną część czasu uczniowie spędzać będą na zajęciach wyjazdowych, obozach, wycieczkach. Zasada uczenia się poprzez praktyczne doświadczenie etnicznej rzeczywistości przyrodniczej, społecznej, kulturalnej ma być w Liceum realizowana na serio.

Motywacja do nauki powinna stać się w Społecznym Liceum zainteresowaniem a nie stopniem. Zasadniczo ujęli się więc o rezygnacji z wystawiania ocen, ostatecznie jednakże rozstrzygnięcie tej sprawy pozostawiając opiniom samej młodzieży i rodziców. O promocji ucznia decyduwać ma Rada Nauczycieli, która może uwzględnić indywidualny tok nauki poszczególnych uczniów. Jest to dla najdolniejszych szansa na zdobycie szerokiej wiedzy poprogramowej a dla najsłabszych szansa na uzupełnienie braków bez konieczności pozostawania na drugi rok w tej samej klasie.

Program Społecznego Liceum Ogólnokształcącego różnić będzie się w sposób istotny od programu obowiązującego w szkołach państwowych, w sumie jednak po czterech latach uczeń przygotowany zostanie do "dobrego zdania egzaminu maturalnego" i egzaminów na wyższe uczelnie. Coż jednak będzie z kims-któ w trakcie szkolnej nauki zechce przenieść się do szkoły państwowej? Społeczne Liceum Ogólnokształcące przewiduje taką ewentualność bierze na siebie obowiązek indywidualnego przygotowania takiego ucznia do szlasy szkolnej, tak by drożność mogła być zastawiana na każdym poziomie.

Społeczne Liceum Ogólnokształcące zaraz po uzyskaniu zgody Ministerstwa Edukacji Narodowej zamierza przystąpić do rekrutacji kandydatów do klas pierwszych. Egzamin odbędzie się na wiosnę - wyprzedzając znacznie termin egzaminów do szkół państwowych, by nie utrudniać tym, którym się nie powiedzie, przyjęcia gdzie indziej.

Poza pracami nad programami nauczania trwają obecnie starania o uzyskanie lokalu na tymczasową siedzibę Liceum. Budowa własnego gmachu, odpowiadającego ambicjom i pomysłom organizatorów, jest oczywiście sprawą przyszłości. Będzie to z pewnością przedmiotem wieloletniej troski społeczności szkolnej i Towarzystwa Przyjaciół Społecznego Liceum Ogólnokształcącego.

# SPOTKANIA KAMERALNE '88

Bywają znakomite pomysły na jednorazowe imprezy. Powstają czasem bardzo ciekawe środowiska, zaczynające wspaniałą działalność, które rozchodzą się po jednym udanym występie.

Wrocławskie "Spotkania Kameralne" i powstały wokół nich Teatr Nieformalny trwają, wciąż są bardzo interesujące i mają już dzisiaj poważną pozycję wśród młodzieżowych działań kulturalnych we Wrocławiu, a może nawet w Polsce.

Zaczął się od muzycznych i teatralnych spotkań w "Kawiarence Harcerskiej" organizowanych przez Wrocławskie Drużyny Wędrowników. Potem były pierwsze "Spotkania Kameralne" w listopadzie 1987 roku, w których wzięli udział już nie tylko harcerze i nie tylko z Wrocławia. Nawiazano wówczas kontakty zaowocowały później gdańskim Festiwałem Teatralnym O Różę Pierrotta (o obu tych imprezach pisaliśmy w "WG"). Później była następna "Kawiarenka Harcerska" (z licznym udziałem "cywilów"), rozwinęła się działalność wydawnicza Teatru Nieformalnego - ukazały się kasety magnetofonowe i kasetka video z nagraniami ze "Spotkań" oraz tomiki poezji z utworami Michała Białeckiego, Ryszarda Kowickiego, Marka Szłosa, Tomka Bytnera i Mirosława Dordallo, ilustrowane przez Agnieszkę Jarych.

W rok po pierwszych odbyły się drugie "Spotkania Kameralne". Trzydniowa impreza (4-6 listopada 1988) odbyła się tak jak poprzednio w Klubie Osiedlowym "Firlej" i, jak poprzednio, bogata była i różnorodna. W programie spektakle teatralne, monodramy, recitale, kabaret, pantomima, etiudy filmowe. Towarzyszyły temu wszystkie wystawy fotograficzne, wystawy grafiki i rysunku oraz ciekawa oprawa plastyczna autorstwa Agnieszki Jarych; czynny był bufet i kawiarenka.

Jakie były drugie "Spotkania Kameralne"? Tym razem zamiast dokładniejszego omówienia przedstawiamy wybór tekstów pochodzących z wydrukowanego programu "Spotkań" oraz z wydawanej w trakcie imprezy (trzy numery) gazetki "Foyer".

\*\*\*\*\*

"Spotkania Kameralne" stają się imprezą cykliczną. (...) Widzowie i występujący znali się dobrze. Zdebiutować na scenie było o wiele łatwiej, kiedy bratnia dusze miły uśmiechem i oklaskami zachęcały do artystycznych wypowiedzi. Od początku nie chodziło o efekt sceniczny lecz o moment przekroczenia siebie, samorealizacja. (...)

Impreze te organizują ludzie mający głęboką wewnętrzną potrzebę dawania czegoś innym. Pojawiają się tu ludzie w różnym wieku, z różnych środowisk a nawet miast, którzy przez wspólne przeżywanie sztuki rozwijają się. (...)

Ważna jest jedno - aby idea, jaka przyświecała od początku "życia" "Spotkań", nie uległa rozmyciu pod wpływem coraz większego wyrobienia organizatorów i wykonawców, aby "elita" nie zdominowała, nie przytłoczyła tych, którym impreza ta ma służyć - debiutantów. Aby "Spotkania" nie były robione tylko na pokaz. Trzeba pamiętać, że celem jest rozwój pojedynczego człowieka - każdego z nas! Wypadaloby tym wszystkim występującym nadwrażliwcom patrzeć głęboko

w oczy i uważać czy nie depcze się głupią uwagą, chamstwem, kpina, ledwo wychylającej się wrażliwości na ludzi i sztukę. (...) Nie ma na "Spotkaniach" rywalizacji o miano najlepszego, nie powinno być też balwochwaltwa i pobudzania sztucznego zadowolenia. Widzowie i występujący to ci sami ludzie, którzy spotykają się, by wspólnie i aktywnie przeżywać teatr.

Przyjdź, Człowieku, i zagraj, powiedz coś, co sam przygotowałeś, coś małego ale własnego. Zaakcentuj własną indywidualność ale nie przytłaczaj nią innych. Bedziemy każdy z osobna ale jednak razem, w sztuce, w życiu, w teatrze, w bajce...

Dariusz Łuczak  
(ze wstępu do programu "Spotkań Kameralnych")

\*\*\*

Lupa - Niektórzy uważają cię za ojca duchowego "Spotkań". Czy to prawda?

Michał Białecki - Nie powiedziałbym tak. Jest to chyba kwestia entuzjazmu, który jest we mnie. Ten mój entuzjazm udzielił się także kilku osobom w naszym roku - i to chyba zdecydowało o formie czy kształcie "Spotkań".

L. - Co, według ciebie, jest najważniejsze na "Spotkaniach"?

M.B. - Dla mnie najważniejsza jest możliwość realizacji siebie, przekraczania siebie, tak przez występujących jak i oglądających te spotkania.



L. - W tym roku nie pełnisz żadnej funkcji na "Spotkaniach". Dlaczego?

M.B. - Nie pełnię funkcji formalnej, ale reżyseruję "Dzidzibobo" T. Różewicza, konsultuję tekst Tomka Sieniaka i pomagam ludziom, którzy się do mnie zwrócą.

(fragment wywiadu z Michałem Białeckim, "Foyer" nr 1)

\*\*\*

Specyfika prób był balagan, zarówno na scenie, jak i w całym klubie. Uczestnicy poddawani byli wielu sprawdzianom - cierpliwości (w oczekiwaniu na swoją kolej), siły i hartu ciała (przy przenoszeniu pianina etc.). Zawieszanie kartek, zasłon, montowanie reflektorów złożyło się na ogólny chaos... Ale tak się przecież wszystko zaczyna...

Szczliwy  
( "Foyer" nr 1)

\*\*\*

To ja, wasz lotny reporter. Piszę z pokoju redakcji, wkrótce po spektaklu "Dzidzibob". Krótka sonda na temat spektaklu. Stałe pytanie: jak było?

Kasia - Jak weszłam na scenę to nogi mi się trzęsły jak galareta. Potem widziałam tylko Tomka.

Michał - Wiesz jak zagrali? To się w pale nie mieści. Wszystko zrobili, nawet więcej.

Przemek - Chyba za wcześnie, żeby oceniać.

Agneszka I - Bomba!

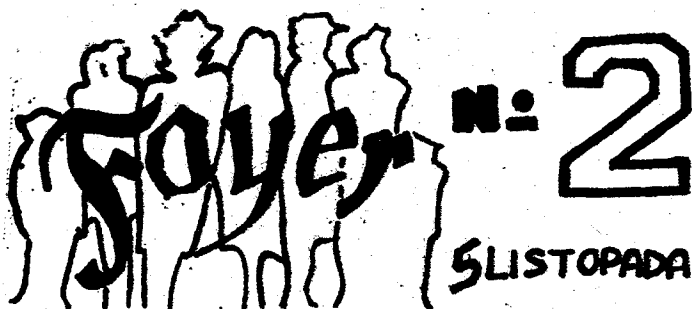
Agneszka II - Ja bym powiedziała, że to było niezłe...

Sylwester - Zelektryzowało wszystkich nazwisko "Białecki" i przez to aktorzy mieli możliwość skupienia się. Sala po prostu zamarła w oczekiwaniu na coś dobrego. I nikt chyba nie poczuł się zawiedziony.

( "Foyer" nr 2)

\*\*\*

- Co sądzisz o pierwszym dniu "Spotkań"?





Sadzę, że z tej KAMERALNE! imprezy zrobiła się im preza MASOWA.

... Bardzo podobało mi się przedstawienie uczniów IV LO - "Fango" - dużo śmiechu, prowokacyjna treść, no i niestety akademickie wykonanie. Na uwagę zasłużył również występ grupy "Wolny Wybór" z Kalisza, która swymi piosenkami zdołała porwać całą publiczność, domagając się kilkakrotnych bisów. Iden-tyczna atmosfera wytworzyła grupa z Krakowa.

Tomasz Siemieź  
("Foyer" nr 3)

... Wszyscy bardzo smutno to robia. Wszystkie przed-stawienia są pod nutę żalosa. Jedynym wyjątkiem jest "Animowanie" Łysiaka.

("Foyer" nr 2)

... Tomasz Siemieź - Czy nie jesteś rozczarowana postawą publiczności w stosunku do swoich prac?

Agnieszka Jarych - trudno, żeby w takim tłoku utrzy-mać porządek, żeby to się nie niszczyło. W końcu sprawy, które są robione na "Spotkania '88", są ro-bione z myślą, że mogą się zniszczyć. Widzisz, to tak pęka serce, jakby ktoś porysował komus rzeźbę czy gi-tare, ale ten żal muszę zdiawić w sobie; czasem nie mogę, to chyba naturalne. Czytałam w "Foyer", że sceno-grafia drugiego dnia jest bardziej z polotem.

T.S. - A jaka będzie scenografia na niedzielę?

A.J. - Jest to znówu symbolika: gitara plus maska tea-tralna, paleta z pedzłami i kawałek pira, który ma dodawać temu poetyki.

T.S. - Co chcesz wyrazić poprzez swoją scenografię?

A.J. - Te spotkania miały się zacząć czymś malenkim, czymś sympatycznym, stąd lira z maską teatralną. Póź-niej temat stracha na wróble - zobacz, to takie pos-polite ale można z tego sporo "wyciągnąć". Próbowałam to zrobić, nie wiem na ile mi to wyszło.

T.S. - Czy spotykasz się z wypowiedziami na temat Twojej pracy?

A.J. - Tak, są one raczej pochlebne. Natomiast miło mnie zaskoczyła propozycja zilustrowania poezji pew-nego chłopaka.

T.S. - Czy ktoś proponował ci kupno prac?

A.J. - Tu nie ma mowy o pieniądzach. Na tej imprezie nikt nie zarabia.

T.S. - Co chciałabyś przekazać czytelnikom "Foyer"?

A.J. - KOCHANI, CHWALCIE I KRYTYKUJICIE, ALE PROBUJICIE ROBIĆ COS SAMI, BO TO JEST FAJNA SPRAWA.

(Wywiad z Agnieszką Jarych, autorka scenografii,  
"Foyer" nr3)

... Jak to się stało, że objełas funkcję kierow-niczki artystycznej "Spotkań?

Ślawomira Bieńczycka - Po prostu w tegorocznych "Spotkaniach" chciałam uczestniczyć bardziej aktywnie niż w ubiegłym roku.

T.S. - Jak, jako kierowniczka artystyczna, przeżyłaś pierwszy wieczór?

S.B. - Ten formalnie pierwszy dzień był moim szóstym dniem intensywnej pracy nad "Spotkaniem", był uwień-czeniem wcześniejszych przygotowań. Czulałam się odpo-wiedzialna za to, co się działo na scenie, przede wszystkim za debiutantów, a także trochę za publiczność. Nie wiedziałam, czy ciągle jeszcze pamiętają, co jest celem naszych spotkań...

T.S. - Które (spektakle) przypadły ci do gustu?

S.B. - Na pewno recital akordeonowy "Dzidziabó" w reżyserii Michała Białeckiego i impresje p. "Dziewczyna", które mi najbardziej odpowiadały, a nie zostały zauważone przez publiczność.

T.S. - Jak plasują się "Spotkania Kameralne" na kulta-ralnej mapie Wrocławia? Chędną mi oczywiście o kultura młodzieżowa.

S.B. - Nie chcę powiedzieć, że na pierwszym się chyba na jedynym miejscu.

... Czy na podstawie lektury tych "migawek" można sobie wyrobić opinie o "Spotkaniach Kameralnych"? Na pewno niepełna. To po prostu trzeba zobaczyć. Warto. Mały nadzieje, że w tym roku będziemy mogli znów "spotkać się kameralnie" we Wrocławiu. To zobaczenia.

P.S. W kilka tygodni po wrocławskich "Spotkaniach Kameralnych" odbyła się w Krakowie podobna impreza o nazwie "Spotkania NIE formalne". Natomiast w okre-sie gdy ten numer "Wielkiej Gry" dociera do czytelników - w lutym '89 - odbywa się w Gdańsku drugi Festi-wal Teatralny o Role Piernocha. Na pewno napiszemy o nim także.



Starzy czytelnicy "Wielkiej Gry" pamiętają, być może, kilkuodcinkowy cykl "Sztuka patrzenia", w którym była mowa o szeroko pojmowanym wychowaniu pla-stycznym, o potrzebie elementarnej choćby wrażliwości na sztukę. Teraz wznowiamy ten cykl w nieco innej postaci. Zapraszamy do bardzo prywatnej galerii, której "właścicielka" dzieli się z nami swymi intymnymi, religijnymi refleksjami nad obrazami. Tak widzieć dzieła sztuki, tak je odczuwać - to też SZTUKA PATRZENIA...

# Galeria

ECCE HOMO - oto człowiek. Obraz przedstawiający Boga. A jednak tylko człowieka. Nigdy nie widziałam portretu Jezusa w tym ujęciu - bez krzyża. Pozbawiono Go nawet tego. To obraz opuszczenia. Ramiona wyrażają rezygnację z fizycznej walki o życie. Właściwie już nic nie pozostało - czas dokonany. Korona cierniowa już nie rani - wrosła, stała się częścią ciała. I na-kuwa się tylko jedna myśl: Chrystusie, czy Ty rozpa-asz? Ale ten jego wzrok! Zmęczony i sponiewierany człowiek patrzy aprobująco. W tym spojrzeniu jest cierpienie, ale nie ma śmierci, nie ma rezygnacji. Coż za genialny kontrast! Portret przedstawiający ale poniżenie człowieka wyraża nadzieję! Nie rozumie tego mój chłodny umysł. W tym wizerunku to, co wydaje się absurdalne, znajduje swoje uzasadnienie, swoje uznanie. Krew spływająca po ciele Jezusa, purpurowa szata, to człowieczeństwo, Delikatna linia aureoli to tajemnica świętości, której nie potrafię odgadnąć, która jedynie przeczuwam.

Co jeszcze mogę uczynić Bogu, którego obraz mam przed sobą?

Coż bardziej jeszcze zaboli tego Człowieka nad to, co już Mu uczyniłam? A jednak Jego wzrok...

Tu można, w oczach Boga, stać się zwycięzca, będąc zwyciężonym w oczach ludzi. Gdzieś na krawędzi tego Absurdu ucze się dumi człowieczej. Nie pychy, ale prawdy, że Bóg uczynił mnie na Jego podobieństwo. Ja właśnie tak wyglądam - zmaltretowana dusza. Nie zada-je pytania: dlaczego? On też go nie postawił. Ale jest we mnie ta sama nadzieja, która jest w spojrze-niu Jezusa. To przywołanie na wszystko, co Bóg daje, ta siła, która mam w sobie - to Jego dar. Ja wiem, że Człowiek na portrecie zna to wszystko. Patrząc na po-niżenie Chrystusa ciesze się, że On chce abym była do Niego podobna.

Gdzie jest to przygnębienie, które przyszło, gdy zobaczyłam Cię po raz pierwszy?

Dotknęła mnie tajemnica Twoich słów: "Ostatni buda pierwszymi..."

Brat Albert Chmielowski - ECCE HOMO

## SŁOWNIK TERMINÓW POLITYCZNYCH

### KIBUC

Forma kolektywnego osadnictwa, które odgrywało kluczową rolę w tworzeniu współczesnego Izraela. Pierwszy kibuc został założony w roku 1899 przez grupę pionierów z Rosji. Około roku 1965 było ich 230; s niektóre z nich liczyły po tysiąc osób. Dopuszczają-cio możliwość indywidualnych różnicowań, kibuc speł-nia trzy podstawowe funkcje, którymi są:

1/ gospodarcza: uprawa ziemi, której niejednokrot-nie towarzyszy również produkcja przemysłowa;

2/ socjalna: praktyczna realizacja ideałów socja-listycznych, takich jak równość, wspólna własność, wspólna żyćia (łącznie z wychowaniem dzieci) i zbiorowe podejmowanie decyzji;

3/ wojskowa: kibuce odgrywały rolę punktów obser-wacyjnych, a w okresie wrzenia - silnych placówek, posiadających własne garnizony. W latach 1960-tych ponad 80000 Izraelitów na stałe mieszkało w kibucach. Stanowiło to poniżej 5% ludności, ale ich udział w formowaniu się państwa Izrael jest znacznie większy niż sugerują liczby.



Gdyby poezja była tym samym, co muzyka rockowa (czyż na szczęście nie jest), to Zbigniewowi Herbertowi należałoby się zapewne tytuł super-gwiazdy. Jest on najczęściej chyba tłumaczonym i najbardziej znanym w świecie polskim poeta. Jest laureatem prestiżowych nagród, wygłaszał odczyty o poezji w wielu krajach Europy Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych, a przy jednym z amerykańskich uniwersytetów powstało pismo "Mr Cogito", którego nazwa odnosi się, rzecz jasna, do tytułu jednego z tomików poetyckich Herberta. O prestiż i wysoka ranga jego poezji sprawiły, że kilka jego wierszy trafiło także i do szkolnych lektur, gdzie znalazły się w towarzystwie "Popiołu i diamentu", "Magnitogorska albo rozmowy z Janem" czy "Timura i jego drużyny". Sam Herbert zauważył kiedyś z ironią: "Ja też jestem w podręcznikach, nie wiem na jakiej zasadzie, ale wybrali wiersz i pewnie napisali, że jestem klasyczny, że zajmuję się mitologia, więc nieszkodliwy maniak". Uwaga o tyle jest trafna, że w przeciwieństwie do twórczości Kolakowskiego, Orwella czy Miłosza - bohaterów poprzednich "Przygód z utopią" - w wierszach Herberta, poza kilkoma wyjątkami, próżno by szukać bezpośrednich odniesień do bieżących wydarzeń politycznych. Jest więc jego poezja bezużyteczna dla władzy jako narzędzie indoktrynacji i propagandy, ale zarazem pozbawiona wyraźnych treści wyrotowych. Zaiste "nieszkodliwy maniak".

Jeśli jednak poezja Herberta jest apolityczna, to jest to taki rodzaj apolityczności, który staje się, paradoksalnie, manifestacją pewnej postawy politycznej dla kogoś żyjącego i piszącego w Polsce po 1945 roku. Wtedy to bowiem ludzie, którzy z nadania Stalina objali w naszym kraju władzę, przystąpili z zapałem do budowy totalitarnego państwa na modłę sowiecką. Totalitaryzm jest takim ustrojem, w którym grupa rządząca - partia - sprawuje kontrolę nad wszystkimi przejawami życia jednostki i społeczeństwa, w tym także nad kulturą, nad całością twórczości duchowej człowieka. Dlatego też jednym z pierwszych zadań partii Komunistycznej po zdobyciu władzy politycznej jest ubezwłasnowolnienie tych, którzy kulturę tworzą - intelektualistów, pisarzy, artystów. Tak dzieje się w każdym kraju, który na nieszczęście wpaść w łapy bojowników Przewodzącego Ustroju. Tak działo się także w Polsce. Sam Herbert wydaje się mieć ustalona opinie o tamtych latach "utrwalania władzy ludowej": "Ludzie w Polsce dzielili się na dwa obozy: na lewobrzeżnych i na prawobrzeżnych. Ci, którzy przeżyli okupację sowiecką od 39 do 41 roku we Lwowie czy Wilnie mieli po prostu pojęcie o systemie sowieckim, jego pokaz *in nuce*. Tacy jak ja uważali, że rok 45 to nie jest żadne wyzwolenie, tylko po prostu najazd, dalsza, dłuższa, znacznie trudniejsza do przeżycia moralnego okupacja. [...] Więc tak, ja jestem tym Polakiem prawobrzeżnym, wschodnim Polakiem, który właściwie wiedział o tym systemie już wszystko w tydzień od wkroczenia armii-wyzwolicielski do Lwowa".

W okresie stalinowskim partyjni wielkorządcy wymagali od pisarza posłuszeństwa, którego wyrazem miała być twórczość zgodna z zasadami "socjalistycznego realizmu", polegająca na nieustannym wychwalaniu ustroju i jego bohaterów, świętych i męczenników z Józefem Stalinem na czele, a także propagowanie nienawiści do rzekomych i rzeczywistych wrogów tego ustroju.

W pierwszych latach PRL-u Herbert związał się z założonym po wojnie przez księcia metropolite Adama Stefana Sapiechę krakowskim "Tygodnikiem Powszechnym". Pismo powstało w czasie kiedy nowe władze nie okrzepły jeszcze na tyle, by mogły zlikwidować całe niezależne życie kulturalne. Komuniści skłonni byli wtedy do pojedynczych gestów w stronę Kościoła i jednym z takich gestów była zgoda na wydawanie "Tygodnika Powszechnego". Miał on być pismem o tematyce przede wszystkim kulturalnej, świadomie pomijającym sferę politycznej, w której "od zawsze" komuniści usurpowali sobie monopol. Intencja zespołu redakcyjnego "Tygodnika" była zatem obrona niezależnej myśli poprzez pewne ograniczenie obszaru zainteresowania, swoista apolityczność. Niestety, rachuby na to, że rodzimi komuniści nie będą próbowali upodobnić życia w naszym kraju do tego, co działo się w Związku Sowieckim okazały się słonne. Z roku na rok coraz trudniej przychodziło piśmie bronić swojej niezależności.

Atmosfera wokół "Tygodnika" coraz bardziej się zęzaczęła, rosła groźba zamknięcia pisma a nawet aresztowania redakcji. Momentem przełomowym okazała się śmierć Stalina w 1953 roku. Prasa polska zalała wówczas falą tekstów sławiących "przywódcę całej postępowej ludzkości" i wyrażających żal i rozpaczy z powodu jego zejścia z tego świata. Także i od redakcji "Tygodnika" zadano opublikowania apologii tego zbrodniarza. Odpowiedź była odmowna. Numer pisma zawierający jedynie krótką notatkę o śmierci Stalina został w całości odesłany przez cenzurę. W rezultacie "Tygodnik" został zawieszony, a następnie zamknięty. Grupa osób z nim związanych znalazła się na bruku, bez jakiegokolwiek możliwości publikowania czy w ogóle jakiegos zatrudnienia. Podobny był los współpracującej z pismem Herberta. O jego ówczesnej kondycji tak pisał jego przyjaciel, Leopold Tyrmand:

K. J.

# Zbigniew poeta wiecznego

"Oczywiście, cierpi nędza. Zarabia kilkaset złotych miesięcznie jako kalkulator-chronometrażysta w spółdzielni produkującej papierowe torby, zabawki czy pudełka. Pogoda, z jaką Herbert znosi tę mordagę po ukończeniu trzech fakultetów, jest wprost z wczesnochrześcijańskiej hagiografii. Ta pogoda to precyzyjnie skonstruowana maska: kryje się za nią rozpacz człowieka, który boi się, że przegrał życie w niepoważnym pokerze historii, w którym stawka były ideologiczne przywiązania i honory. W konsekwencji tego zgubnego nalogu nie jest w stanie pomóc starym schorowanym rodzicom, czy wyznać się innym zgrzyotom. Przypomina człowieka, który pochylili się nad studnią życia i którego doszedł stamtąd przeraźliwy smród, ale który się także wpił spazmatycznie w krawędź, aby się nie cofnąć i za żadną cenę nie przemieść rozmarzonego wzroku w cukierkowe landszafty".

Te "cukierkowe landszafty" to panujący od kilku lat w literaturze polskiej socrealizm. Jedynie pod warunkiem akceptacji tej doktryny mógłby Herbert publikować swoje wiersze. Nie zrobił tego:

*To wcale nie wymagało wielkiego charakteru  
mielismy odrobinę niezbędnej odwagi  
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku  
Tak smaku  
który każe wyjść skrzywić się wycedzić szyderstwo  
choćby miał za to spaść bezcenny kapitel ciała  
głowa  
(Potęga smaku)*

Od akcesu do grona piewców stalinizmu powstrzymała tedy Herberta brzydota tego ustroju: prostactwo filozofii materializmu historycznego, nuda i schematyzm, którymi tchnęły socrealistyczne wiersze i powieści, ale także brzydota życia codziennego w stalinowskiej Polsce - nędza szerokiej mas zmuszonych do niewolniczej pracy, donosicielstwo, policyjny terror i atmosfera fanatyzmu "zostrzającej się walki klasowej". A do tego wszystkiego żyjący jak u Pana Boga za piecem artyści i pisarze, których wierność władza nagradzała mieszkaniem, miejscami w domach pracy twórczej, wysokimi nakładami książek oraz *last but not least* możliwością przebywania na pańskim dworze, obracania się w towarzystwie sfer rządzących - wielkich bossów rządzącej Polską politycznego gangu. Jak pisał Herbert w jednym z późniejszych tekstów: "Belzebub popiera sztukę. Zapewnia swym artystom spokój, dobre wyżywienie i absolutną izolację od piekielnego życia" ("Co myśli Pan Cogito o piekle").



... jak powiadają, nie ma...  
 fizyczna apolityczność...  
 sprawa stalinowska...  
 "wczona", która jednak...  
 to, że była najgłębszą...  
 obowiązujących w ówczesnej...  
 to od razu, że "estetyczna" Herberta...  
 raczej niż estetyczna w wąskim...  
 słowa zachęcał.

moja wyobraźnia  
 to kawałek deski;  
 a za cały instrument  
 mam drewniany patyk  
 uderzam w deskę  
 a ona mi odpowiada  
 tak - tak  
 nie - nie

innym zielony dzwon drzewa  
 niebieski dzwon wody  
 ja mam kolatkę  
 od nie strzeżonych ogrodów

uderzam w deskę  
 a ona mi podpowiada  
 suchy poemat moralisty  
 tak - tak  
 nie - nie

("Kolatką")

Herbert, który swoje odrzucenie komunizmu tłumaczył brzydota jego rzeczywistości, czuje zdecydowaną nie-

# Herbert - niezakończenia

chęć wobec "czystej" sztuki - sztuki oczyszczonej z zagadnień moralnych - czemu najpełniej dał chyba wyraz w słynnym wierszu "Apollo i Marsjasz":

zwirowana aleja  
 wysadzana bukszpanem  
 odchodzi zwycięzca  
 zastanawiając się  
 czy z wycia Marsjasza  
 nie powstałoby z czasem  
 nowa gałąź  
 sztuki - powiedzmy - konkretnej

Podobnie niechętny był stosunek poety do sporów toczonych w środowisku literackim w latach pięćdziesiątych: "podczas tego straszliwego zabijania narodu rozpoczyna się cyrk pcheł, mieszczący się na Krakowskim Przedmieściu. Zwolennicy awangardy atakują zwolenników byłych «Wiadomości Literackich». (...) A znów gdzie indziej zwolennicy poetyki Majakowskiego atakują tych, którzy chcą znaleźć miejsce dla Apollinaire'a i chcą udowodnić, że on był jednak postępowy". Podobne stanowisko zajmuje Herbert w wierszu "Ornamentatorzy", gdzie wymienia "radosną twórczość" tych artystów, którzy zdecydowani byli oddać swój talent w pacht stalinowskiemu oprawcom:

oni, mają rację nie jest sprawa sztuki  
 prawdy szukać to są rzeczy nauki (...)

że się pedzi przy tym ciemne młyny  
 my się o to sztukatorzy nie martwimy  
 my jesteśmy partią życia i radości

na ulicy radosnych pochodów  
 szary mur więzienny w oczy klucze  
 brzydka plama w krajobrazie idealnym

sztukatorów co najlepszych wezwali  
 całą noc sztukatorzy malowali  
 nawet plecy tych co siedzą z tamtej strony  
 na różowo

Doktryna socrealizmu przestała w Polsce obowiązywać po roku 1956. W tym właśnie roku ukazał się debiutancki tomik poetycki Herberta, zawierający wiersze powstałe na przestrzeni poprzednich piętnastu lat. Po przełomie październikowym nastąpiły pewne zmiany w tzw. polityce kulturalnej władz, oddał wychwalanie ustroju, skądiniek silnie widziane, nie było koniecznym warunkiem publikacji. Pisarzy zachęcano

... pisała o płaskach i...  
 wierszach...  
 "kondycji...  
 stronach peerel...  
 jest odpo...  
 wieloletni prezes ZLP...  
 in...  
 "Piszcie tak jak ja, o miłości...  
 nie będziecie mieć kłopotów z cenzurą".  
 Długo tak rozumiana apolityczność nie była cechą ani...  
 późniejszej poezji Herberta, w której...  
 ideologiczne, polityczne i moralne...  
 a która mimo to nigdy nie...  
 agitką.

Jak pamiętamy, dla Miłosza wyobraźnia poetycka jest czymś bliskim proroczego natchnienia, w którym można uchwycić boski ład świata. Herbert, przeciwnie, pozostaje nieufny wobec nieograniczonych roszczeń wyobraźni:

Pan Cogito nigdy nie ufał  
 sztuczkom wyobraźni (...)

chciał z niej uczynić  
 narzędzie współczucia (...)

wyobraźnia Pana Cogito  
 ma ruch wahadłowy

przebiega precyzyjnie  
 od cierpienia do cierpienia

nie ma w niej miejsca  
 na sztuczne ognie poezji

chciałby pozostać wierny  
 niepewnej jasności

("Pan Cogito i wyobraźnia")

Wyobraźni, która u Miłosza buduje "wiecznotrwała grody" przeciwstawia zatem Herbert "narzędzie współczucia" i "niepewna jasność", które mogłyby nas uchronić przed pokusą utopii - wiary w budowę takiego czy innego rajku na ziemi:

po świecie eksplozji  
 po świecie ciszy  
 ten głos bije jak źródło żywej wody

jest to jak nam wyjaśniają  
 krzyk matek od których odłączają dzieci  
 gdyż jak się okazuje  
 będziemy zbawieni pojedynczo

("U wrót doliny")



Utopie - recepty na zbawienie ludzkości - zaczyna się na ogół od postulatu zburzenia "starego świata" i wyrznięcia wrogów powszechnego szczęścia. Sam Herbert powiedział kiedyś, że nie lubi utopii - zaczyna się od mówienia o szczęściu ludzkości, a kończy budowa obozów koncentracyjnych. W cytowanym wyżej wierszu "ślad ostateczny", poprzedzający wejście ludzkości do rajku przypomina selekcję więźniów obozu koncentracyjnego: "aniołowie stróża są bezwzględni / i trzeba przyznać mają ciężką robotę". Dzieje się to "na moment / przed ostatecznym podziałem / na zgrzytających zębami / i śpiących psalmy".

CIĄG DALSZY NA STR. 10

# Zbigniew Herbert...

## DOKOŃCZENIE ZE STR. 9

Tym, co najdobitniej może określa ideologiczne utopie jest ich prostactwo: "łańcuchy tautologii parę pojęć jak cepy / dialektyka oprawców żadnej dystynkcji w rozumowaniu" ("Potęga smaku"). Prostactwo utopii przetrada się w barbarzyństwo, gdzie zniszczenie ze środka mającego prowadzić do jakiegoś celu staje się celem samym w sobie. Marsz ku świetlanej przyszłości niepostrzeżenie zamienia się w najazd barbarzyńców;

*Ogromny chłód wieje od Longobardów  
Cień ich trawę przepłata kiedy zlatują w dolinę.  
Krzyżać swoje przeciągłe nothing nothing nothing  
("Longobardowie")*

Ideologiczny harmider ma za cel zagłuszenie strachu przed pustką i samotnością strachu przed nicością:

*nareszcie idzie ludzkość cała  
nareszcie każdy trafił w krok  
cieleca skóra pałki dwie  
rozbili wieże i samotność  
i stratowane jest milczenie  
a śmierć niestrasza kiedy tłuma  
("Pieśń o bebnie")*

Zjawisko, o którym tu mowa - tęsknota za utopią kryjąca kult barbarzyństwa - wydaje się groźba, dla całej kultury zachodniej. Przejawia się ona w komunistycznych ciągach, których apogeum przypadło - paradoksalnie - na lata największych zbrodni stalinizmu. Dostrzec je można także i w późniejszych dekadach, w fali młodzieżowej kontestacji lat sześćdziesiątych, która w nieco odmiennym kształcie trwa aż do dziś. W wierszu "Pan Cogito a pop" poeta zastanawia się chłodno nad charakterystyczną dla młodzieżowej kontrkultury "estetyką bałasu", by dojść do konkluzji, że krzyk:

*wyraża prawdę uczuć  
z rezerwatów przyrody*

*szuka utraconego raję  
w nowych dżunglach porządku.*

*modli się o śmierć gwałtowną  
i ta mu zostanie przyznana*

Tym, którzy skłonni są piorunować przeciwko rozmowi i jak wybitny myśliciel rumuński Mircea Eliade - twierdzą, że człowiek współczesny utracił archaiczna, intuicyjna więź z całością bytu, której wyrazem była u człowieka pierwotnego magia i religia, Herbert przeciwstawia sceptyczne "czyżby?". Stwierdza z ironią:

*Ma rację Mircea Eliade  
jesteśmy - mimo wszystko  
społeczeństwem zaawansowanym*

*magia i gnoza  
kwitnie jak nigdy*

*sztuczne raje  
sztuczne piekła  
sprzedawane są na rogu ulicy i t. d.*

*związani alchemicy balucynacji  
produkuja  
nowe dreszarki  
nowe kolory  
nowe jęki*

*I rodzi się sztuka  
agresywnej epilepsji*

"Pan Cogito o magii"

Sceptyczny zarówno wobec ideologii "przyszłościowców" jak i pomysłów powrotu do jakiegoś rzekomego stanu pierwotnego, herbertowski bohater - Pan Cogito

rozstrzyga wierszy "niepewnej jasności" rozumie ją wierszem rozumem, przejawia się we wspomnianej nie- zgodzie na wszelkie możliwe prostactwo ideologicznych prób rekonstrukcji i jednorodności świata do kilku form: powłok i przekona wszechwładnych wch. karmulek. Podobne są one do tego, na którym mityczny Prometheus przetrwał lub przetrwał tych, którzy mu wpadli w łapy.

*w istocie byłem jedyńm reformatorem społecznym  
moja prawdziwa pasja była antropometria*

*wymyśliłem łosę na miarę doskonałego człowieka  
przewidywałem szpannych podręcznych do tego łosę  
trudno było uniknąć przewzajem rozstragania  
złocinach  
obciążenia konsekw.*

*podpencjonierali się im więcej znieść  
tym bardziej byłem pewny, że badania moje są  
złocinach  
cel wzniosły postęp wymaga śmia:  
"Damastea z przedomkiem i krukostes mowi"*

Podobnie przesmiewawczy ton potrafił jednak Herbert przyjąć także i wobec mitycznego Prometeusza, ulu bionej postaci apologetów wyzwolonek, Korumu i Postepu (konieczność pisanych duża litera).

Pisze pamiętniki. Próbuje w nich własnie miejsce bohatera w systemie konieczności, pogodzić sprzeczne z sobą pojęcie bytu i losu.

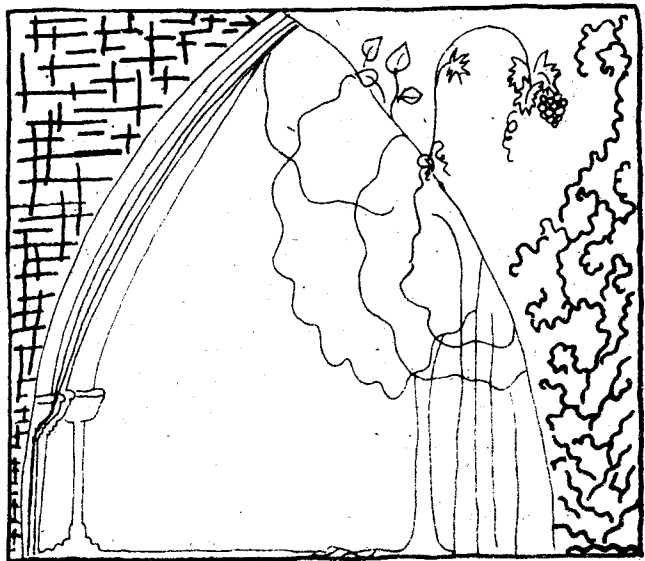
"... Ogień buzię na kominku. Na ścianie wypchany orzeł i list dziekczynny tyrana Kaukazu, któremu dzięki wynalazkowi Prometeusza udało się spalić zbuntowane miasto" ("Stary Prometeusz").

Herbertowski rozum niewiele ma bowiem wspólnego z postępem techniki mogącej służyć zarówno do dobrych jak i złych celów. Rozum jest raczej tym, co pozwala człowiekowi rozróżnić między dobrem a złem. Człowiek myślicy - Pan Cogito - to człowiek, który jest sprawca własnych decyzji moralnych - tym, który potrafi powiedzieć "nie" i przyjąć na siebie konsekwencje tego wyboru. Taka decyzja nie jest wyzwoleniem od przyszości, tradycji, kultury, ale przeciwnie aktem afirmacji, wyboru pewnej duchowej ojczyzny:

*helleńska rzymska średniowieczna  
indyjska elzbietańska włoska  
francuska nade wszystko chyba  
trochę weimarska i wersalska  
tyle dźwigamy naszych ojczyzn  
na jednym grzbiecie jednej ziemi*

*lęcz ta jedyna której strzeże  
liczba najbardziej pojedyncza  
jest tutaj gdzie cie wdepcza w grunt  
lub szpadlem który hardo dzwoni  
tesknocie zrobia spory dół*

("Odpowiedz")



W poezji Herberta łączy się nieufność wobec rozwiązań ostatecznych, duch wiecznego niezakończenia, z afirmacją ponadczasowych i zakorzenionych w kulturze wartości - kruchych i zawsze wymagających obrony przed pokusą totalitarnego barbarzyństwa i moralnego nihilizmu; pokusa, od której nikt chyba nie jest tak do końca wolny.

# Beniamin i inni

W Berlinie Wschodnim, w liceum im. Karla von Ossietzky (znany pacyfista niemiecki) wydarzyło się coś niezwykłego. Właściwie biorąc, cały szereg niezwykłych spraw, które zasługują na naszą uwagę. Obszerna relacja przynosi list otwarty ewangelickich duszpasterzy młodzieży z Berlina, skierowany do wszystkich parafii tego miasta. Najpierw fakty.

We wspomnianej szkole istniała godna naśladowania praktyka, a mianowicie gazetka ścienna, w której na zasadzie "Hyde Parku" uczniowie mieli prawo swobodnie wypowiadać swoje poglądy. Obietnica nietykalności nie została jednak dochowana, gdy w gazecie ukazały się krytyczne artykuły na tematy aktualne, to znaczy o strajkach w Polsce i o defiladzie wojskowej w Berlinie. Z powodu tych artykułów czterej uczniowie zostali usunięci ze szkoły, innych dwoje przeniesiono do odległego liceum, dwóch dalszych otrzymało nagane z ostrzeżeniem. Jak do tego doszło?

## Prolog

11 września, 88 czterej uczniowie - Beniamin, Zenia, Alexander i Filip - wzięli udział w obchodach Dnia Pamięci Ofiar Faszyzmu, niosąc własne, przez siebie obmyślane transparenty z napisami: "PRZECIŃ TRUDNOCJOM FASZYSTOWSKIM" oraz "PRZECZ Z NEONAZISTAMI". Funkcjonariusze bezpieczeństwa spisali dane personalne chłopców. Wywiązała się żywa dyskusja między uczniami, policjantami i świadkami wydarzenia.

## Akt I

12 września Zenia i Beniamin umieścili w gazecie opracowany przez siebie artykuł o wydarzeniach w Polsce. Przedstawiał on zgodnie z prawdą przyczyny strajków i ich konsekwencje, wyrażał też przekonanie o celowości uznania "Solidarności" za legalne przedstawicielstwo robotników. Rzeczowo napisany tekst został dobrze przyjęty przez większość uczniów.

Podczas dyskusji na przerwie w obecności nauczycieli dwaj uczniowie sprzeciwili się ocenie autorów, przypisując strajki rzekomemu lenistwu Polaków, "których zawsze trzeba było zmuszać do pracy". Nikt z kierownictwa szkoły czy organizacji młodzieżowej nie zarogował na ten przykry przejaw szowinizmu.

## Akt II

Kilka dni później uczeń Kai umieszcza w gazecie artykuł, kwestionujący celowość defilady wojskowej w dniu 7 października. W zakończeniu wzywa kolegów do dyskusji na ten temat. W jej wyniku Kai zaczyna zbierać podpisy uczniów solidaryzujących się z jego poglądami i uzyskuje 37 podpisy. Dyrektor przeciwdziała się akcji. Obiecuje jednak podjąć w ministerstwie starania o przeprowadzenie podobnej ankiety pod warunkiem, że Kai przekaże mu zebrane podpisy. Kai oddaje listy. Dyrekcja ustala terminy rozmów ostrzegawczych z rodzicami uczniów znajdujących się na liście. 21 września Zenia, Beniamin, Filip i Wolfram zamieszczają w gazecie wiersz przepisany z gazety wojskowej (jest to utwór, w którym autor - żołnierz - w czułych słowach wyraża ewa miłość do karabinu Kałasznikowa). Uczniowie stwierdzają: "To daje nam wiele do myślenia".

Tego samego dnia w szkole mają miejsce wybory do grona kierowniczego FDJ (oficjalna organizacja młodzieży w NRD). W obecności dyrektora Beniamin i Wolfram są ponownie wybrani.

## Akt III

22 września, jeszcze przed ukończeniem akcji rozmów z rodzicami, rozpoczynają się przesłuchania uczniów. Kai, Katia, Filip, Zenia i Beniamin są kolejno wywoływani z lekcji. Obok dyrektora, wychowawców i sekretarza partii, w przesłuchaniu uczestniczą trzy nieznanne uczniom osoby. Dwie z nich zajmują się protokołowaniem. Następnego dnia podobnemu przesłuchaniu poddani są Alexander i Wolfram. Zachowanie przesłuchujących jest agresywne, są w nim elementy prowokacji, żąda się od uczniów odcięcia się teraz i na przyszłość od podobnych poglądów. W całej szkole panuje poruszenie. 26 września Beniamin jest zawieszony w prawach ucznia na dwa dni. Dyrektor wygłasza przemówienie w jego klasie, w którym stwierdza, że Beniamin przyjął niewłaściwą filozofię i że nie widzi innego rozwiązania sprawy Beniamina, jak tylko negatywne. Nie wspomina się już o zbieraniu podpisów. Jest tylko sprawa Beniamina, a jedyną, co mogłoby mu pomóc, byłoby odwołanie powyższego, co twierdził.

Katia, Filip, Alexander, Zenia i Kai piszą list do

dyrektora, w którym stwierdzają, że Beniamin nie być ukarany za poglądy, które oni podzielają i na temat których pragną dalej dyskutować. Są też gotowi ponieść konsekwencje swego stanowiska wraz z Beniaminem.

27 września dyrektor odczytuje ten list na jednym z kolejnych posiedzeń rady pedagogicznej. Mowa jest o usunięciu ze szkoły i wykluczeniu z FDJ na wniosek dyrektora. 28 września miało się odbyć forum dyskusyjne na temat Polski. Ta impreza zostaje odwołana. Zarządzone zostaje natomiast nadzwyczajne zebranie członków FDJ w klasach, do których uczęszczają Kai, Katia, Filip i Beniamin. Podczas tych zebrań ma być przegłosowane usunięcie ich z organizacji. W zebraniach uczestniczą przedstawiciele rejonowego kierownictwa FDJ, aktywni rodziców, zakładów patronackich szkoły, a także sekretarz partii i dyrektor. Przebieg zebrań jest różny: Kai i Katia zostają usunięci. W klasie Beniamina mimo nacisku nie udaje się osiągnąć 2/3 głosów za wykluczeniem. Przedstawiciel kierownictwa FDJ mówi o zaistnieniu w klasie "antysocjalistycznej platformy". W żadnej z klas aukt obwinionych nie może swobodnie przedstawić swojego stanowiska. Wielu uczniów głosuje z płaczem.

30 września odbywa się nadzwyczajne zebranie uczniów w auli. Każdy z obwinionych uczniów musi stać przed wszystkimi i tak przyjąć wyrok. Po kolei oznajmia się w ten sposób Filipowi, Kai, Katii i Beniaminowi, że zostają usunięci ze szkoły, a ona razie są zawieszona i mają opuścić salę. Filip, a potem Beniamin, wychodzą w milczeniu. Kai prosi o głos, ale go nie otrzymuje, woła jednak, że to wszystko jest niesprawiedliwe. Jeden z nauczycieli przy pomocy kogos z uczniów wyprowadza go z sali. Potem opuszcza salę Katia. Ktoś z uczniów prosi o głos i oświadcza, że na zebraniach klasowych głosowano nad wykluczeniem z FDJ, a nie nad usunięciem ze szkoły. To wyjaśnienie popiera wielu uczniów. Wywołany z kolei wychodzi Alexander. Stwierdza, że wstydził się za tę szkołę. Dyrektor odpowiada, że skoro się za nią wstydził, to może też ją opuścić. Alexander wychodzi. Zenia otrzymuje nagane i przeniesienie do innej szkoły. 3 października do zreferowanych wyżej dochodzi jeszcze jeden wyrok: Georgia zostaje karnie przeniesiona do szkoły w Kopenick (dalekie przedmieście Berlina). Ta uczennica nie brała udziału w dyskusjach, ale podpisała deklarację solidarności z Beniaminem.

## Epilog

Trwają starania rodziców o zmianę najsurowszych kar odbierających uczniom wszelką szansę dalszej nauki i zdania matury; składane są podania w ministerstwie, interweniują na rzecz uczniów znane osobistości ze świata kultury. Bez skutku. Wicedyrektorka prywatnie informuje jednego z uczniów, że inicjatywa przesłuchań i kar nie wyszła ze szkoły, lecz z najwyższych środowisk partyjnych i że, jej zdaniem, nic się zrobić już nie da.

\*\*\*

W pierwszej chwili nauwa się komentarz standardowy: skąd my to znamy? Cóż to polowanie na czarownice w szkole średniej imienia Ossietzky'ego wydaje się czymś na wpol anachronicznym, lecz typowym dla stosunków w NRD. Jeszcze raz potwierdza się najgłębsza stereotypowa opinia na temat tego kraju. Ale na takim komentarzu poprzestać nie można. Coś więcej jest, w tej suchej relacji do odnotowania. Najpierw postawa duszpasterzy, autorów listu otwartego, którzy bez zastrzeżeń ujmują się za skrzywdzonymi, wzywają parafie do solidarnej modlitwy i poparcia spraw uczniów. Druga rzecz - to rodzica się, wτία jeszcze, ale rzeczyste niezależność i solidarność takich uczniów: ta klasa, która nie głosuje, jak każda, ta grupa, która chce wspólnie ponieść konsekwencje. Może kiedyś będzie film o nich, będą wspomniani, jako ci, od których coś ważnego się zaczęło.

Duszpasterze wzywają do solidarności z ukaranymi uczniami. Czy i my nie powinniśmy w tej akcji uczestniczyć? Listy do Beniamina i kolegów można przekazywać redakcji lub bezpośrednio do Berlina na adres:

Stadtjugendpfarramt  
Invalidenstrasse 4  
Berlin, DDR.

Wiktor Kulerski

# Latająca biblioteka

Miał wówczas... Podczas lekcji zabrał głos w od powiedzi na wzmiankę o Felicianie Benedykta Wybowanie go. Jego portret przez wiele lat patronował nam ze ściany pracowni przyrodniczej, skutecznie broniąc jej przed zmieniającymi się portretami pierwszych sekretarzy i znakomicie służył do wywidywania nadprogramowych by nie powiedzieć politycznie nieuczestnych dyskusji. Tak stało się i wówczas, przed ponad dziesięciu, a może parunastu laty. Andrzej a może Marek - jego imię już niezbyt dobrze pamiętam - wstał ze szkolnej ławki i przerywając mi, zakomunikował, że przecież "teraz też są tam zesłańcy, i obozy. Takie jak niemieckie, tylko o nich się nie mówi...". Dalej opowiadał o Gulagu. Kiedy poprawiłem jakies nieścisłości, dołączyło jeszcze paru ośmielonych uczniów. Już wiedzieliśmy o sobie nawzajem, że każdy z nas czytał *Archipelag Gulag* Aleksandra Solżenicyna, choć ani tytuł, ani nazwisko autora nie padło ani razu. Tak! Ten trzynastoletni chłopak miał już za sobą lekturę Solżenicyna. Musiał przeczytać *Archipelag* od deski do deski i prawdopodobnie udośćpniał go kolegom. Później wróciliśmy do jakichś kielży bajkalskich, a może do polarnej fauny. Na przerwie, po zakończeniu lekcji, zapytałem chłopca już w cztery oczy.

- Czytałeś To?  
Tak  
Koledzy też?  
Tak.  
Pożyczaliś?  
Nie. Czytali u mnie, kiedy rodziców nie było.  
Mówisz o tym na innych lekcjach?  
Nie.  
To dobrze. Wiesz, że musisz uważać?  
Tak. Tylko im pozwoliłem czytać i powiedziałem, żeby nikomu nie mówili, bo wiedzą, nie dam.  
Co jeszcze czytałeś?  
W *wieniu Katynia*, *Na nieludzkiej ziemi* i jeszcze pare, ale tytułów nie pamiętam.  
Musisz uważać.  
Wiem.

Im nastolatkom Biblioteka "Kultury" paryskiej da wala to, co zabierała z komunistyczna szkoła. Ślady takich lektur nie były wszak młodzieży częste, ale nie były też czymś wyjątkowym. Rozpoznawałem je niejednokrotnie u uczniów i od nich ze środowisk inteligentnych. Czytali, to książki, różne. Jedni za pozwoleniem rodziców inni potajemnie wyciągali je z rodzicielskich bibliotek. Lektura ta wiała w sposób szczególny młodych czytelników tworzyła kręgi wtajemniczonych. Czytelnicy książek Biblioteki "Kultury" rozpoznawali się wzajem w rozmowach po faktach, jakie przytaczali, po wiedzy, jaką dysponowali. Nieco przypominali absolwentów niektórych elitarnych szkół rozpoznających się po sposobie mówienia i innych, dla obcych nieuchwytnych szczegółach. W tym przypadku była to wspólna szkoła paryskiej "Kultury".



Młodzi najczęściej konspirowali nie tylko wobec rówieśników spoza paruosobowych grup wtajemniczonych, ale również wobec rodziców, by nie mówić o dorosłych spoza rodziny. Dla takich właśnie zakonspirowanych

młodych czytelników, po kryjówce wyciągajanych książki z rodzicielskich księgozbiorów, te zakazane lektury były szczególnie trudne do osiągnięcia, bowiem do powyższych pozycji nie często pozostawały w domu na dłuższy czas. Książki takie jak *Archipelag Gulag*, *Oddział chorych na raka* i *Krag pierwszy* Aleksandra Solżenicyna, *Rok 1984* i *Felmark* zwierzęcy George Orwell, *Terror* i *rewolucja* E. Lewickiego, *Wielka czystka* A. Weisberga, *Doktor Żywago* E. Pasternaka, *Inny świat* i *Upiórny rewolucji* Gustawa Herlinga Bruźńskiego, *W cieniu Katynia* St. Świaniewicza, *Na nieludzkiej ziemi* J. Czapskiego i inne sam otrzymywałem niekiedy dosłownie na jeden, dwa lub trzy dni. Więcej czasu miewało się na czytanie Kazimierza Wierzyńskiego, Czesława Miłosza, Marka Hłaski. Względnie długo mogłem trzymać *Moje Wspomnienia* Wincentego Witosa, choć najtrudniej przyszło mi je znaleźć i to nie wszystkie trzy tomy. Była to jedna z najbardziej fascynujących lektur i ubolewania godny jest fakt, że tak wielu spośród nielicznych o Witosie piszących (zresztą zazwyczaj niezbyt pochlebnie) zdradza zupełną nieznajomość tego dzieła wydanego w całości jedy nie przez Instytut Literacki. Wspaniały wzór człowieka i obywatela wciąż pozostaje w gruncie rzeczy nieznanym i czeka na popularyzację, ustępując nadal miejsca innym, nie koniecznie bardziej tego godnym.

Szczególnie "chodliwe" pozycje zaczynało się czytać po powrocie z pracy do domu a kończyło nad ranem by zdać zwrócić książkę w terminie. Był on tym krótszy, im dłuższy lancuszek czytających pośredników dzielił, czytelnika od (najczęściej nieznanego mu) właściciela książki! O dni, na które wypożyczało się poczynny tom, szły targi. Jednak nawet i wtedy, kiedy udało się wytargować cały tydzień (ważne były dni wolne od pracy, niedziela i święta) lub dwa, wówczas również trzeba się było śpieszyć, aby książkę przeczytali bliscy oraz przyjaciele, którzy zresztą znowu targowali się o każdy dzień, chcąc udośćpnic ją swoim bliskim i swoim przyjacielom jako że "każdy przyjaciel ma swojego przyjaciela". Właśnie w taki sposób powstawały owe lancuski czytelników-pośredników zazwyczaj bardzo długie, a książki znajdowała się w nieustannym ruchu. Kiedy obiegała już wiele znanych i znanych na jakimś terenie wtedy znikała, stawała się nieosiągalna na długi okres czasu: pół roku, rok - bowiem wędrowała do innego, odległego miasta, w inny zakątek Polski, aby tam zacząć nowy obieg. Prawdziwie latająca biblioteka była Biblioteka "Kultury" w tamtych czasach, kiedy krajowy, niezależny ruch wydawniczy jeszcze nie rozwinął się tak, jak dzisiaj.

Nie wszystkie prywatne zbiory publikacji Instytutu Literackiego były tak intensywnie eksploatowane. W niektórych domach starannie schowane w zamkniętych bibliotekach służyły nader wąskiemu kręgowi czytelników cieszących się szczególnymi względami właściciela, ale i tam co bardziej poszukiwane tytuły zdradzały wyglądem, że przeszły przez niejedną parę rąk.

Najbardziej "zacytanymi" egzemplarzami, jakie w dziale, był kolejne tomy *Archipelagu Gulag*, mimo iż dotarli do mnie stosunkowo wcześniej. To był best-seller "Kultury", który zyskał chyba największą liczbę czytelników. Lektura *Archipelagu* odbierała wielu czytelnikom ich polityczną "niewinność", nie dopuszczała dalszego indyferentyzmu a bywało nawet i tak, że zawracata ze skraju równi pochylała, na jakim się znaleźli. Tacy później sięgali po inne książki "Kultury". Rozmowy o niektórych publikacjach Instytutu Literackiego stawały się w tamtych czasach leitmotiwem szeregu spotkań towarzyskich, urzędowości, rodzinnych i... Pamiętam takie dyskusje także nad *Historią Polski* Pawła Jaremba, *Zniewolony umysł* Czesława Miłosza, *Zydam* w kulturze polskiej Aleksandra Hertzby, bywały improwizowane recytacje strasz *Czarnego Poloneza* Kazimierza Wierzyńskiego, temperatura dyskusji spotkań takie niekiedy przypominały czasów studentów. Zawsze choćby byliśmy nowości przynoszonych przez miesięcznik "Kultura". Zresztą jego numery nie dezaktualizowały się. Nawet pochodzące sprzed lat wciąż mogły do czegoś być potrzebne, wciąż były przez kogoś poszukiwane, podobnie rzecz miała się z "Zeszytami historycznymi". Tak krzyżów znalazło coraz to nowych czytelników.

Wiek trafiała do... Instytutu Literackiego zawsze była...

Charakterystyczne okładki. Zresztą to obłożenie z czasem stało się również charakterystyczne. Na ogół nie stosowano szarego papieru pakowego, uznając, że i on jest zbyt wyacwny. Najczęściej używano jakiegoś zwyczajnej, codziennej gazety albo wielobarwnej karty ze ściennego kalendarza. Jedna szkoła maskowania stawiała na proletowska zgrzebność, druga na płochą elegancję. Spoztrzegając gdziekolwiek tak obłożona książka, można było bez pudła zgadnąć, że jest to towar z przemysłu. Niekiedy nawet w tramwaju czy autobusie zdarzało się widywać osobę pograżoną w lekturze tak obłożonego tomu, mimo iż charakterystyczna czcionka i gatunek papieru pozwalały go zidentyfikować bez wgłębiania się w treść otwartych stron.

W czasach Komitetu Obrony Robotników w sukurs tej latającej Bibliotece "Kultury" przyszła niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa. Ona to pierwsza swoimi publikacjami pozyszała krag czytelników "biblioty" w tak znacznym stopniu, że stała się wówczas głównym sojusznikiem Instytutu Literackiego. Dzisiaj rozliczne reprinty wykonywane chyba najczęściej własnie z jego książek przez wiele niezależnych wydawnictw w całym kraju zwielokrotnily liczbę odbiorców tak, jak nigdy przedtem. "Trefny" towar nie budzi dzisiaj aż takich emocji jak niegdyś nie tylko u czytelników, ale również i u... służby bezpieczeństwa. Nie dość, że mało kto maskuje obecnie te książki obłożeniem i charakterystyczną, delikatną siateczką zdobiacą okładki tomów Biblioteki "Kultury" w sposób jawny przetyka szereg grzbietów na półkach prywatnych księgozbiorów a stoliki miniwydań "Kultury" spoczyna tam równie naturalnie, jak miniaturowe serie Państwowego Instytutu Wydawniczego, ale nawet agenci służby bezpieczeństwa

dokonujący rewizji często nie kwestionują tej "nielegalizacji", o ile poszczególne tytuły znajdują się w pojedynczych egzemplarzach. Znam przypadki, w których rewidujący po przejrzeniu nielicznej ilości wydawnictw niezależnych, krajowych i emigracyjnych, zarekwirowali i wpisali do protokołu... Jeden tomik przypadkowo leżący gdzieś na wierzchu, czyniąc to jakby dla zachowania minimum zawodowej "przyzwoitości". Bywa i tak, że większa ilość zarekwiroowanych książek bez debitu jest zwracana prawowitemu właścicielowi, o ile ten upomina się o nie dostatecznie wytrwale i energicznie. Chyba już w zbyt wielu polskich domach i w zbyt wielkiej liczbie rozplenily się niezależne publikacje - wyrosły przecież z tego głębszego, trudnego zasiewu Instytutu Literackiego - aby teraz można było je wyplenić.

Nie poważę się na próbę określenia czym dla kraju był i jest Instytut Literacki w Paryżu. Nie umiem ocenić nawet w przybliżeniu liczby czytelników jego publikacji ani wpływu, jaki wywarly na społeczeństwo. Zarazem nie potrafie sobie wyobrazić Polski bez tego, co wniosła do niej paryska "Kultura". Nie potrafie wyobrazić sobie tych, jakie różnych, środowisk, z jakimi się zetknalem w ciągu 22-letniej pracy nauczycielskiej i nie tylko, tych kragów towarzyskich, których byłem członkiem, domów, w których bywałem, moich przyjaciół, a wreszcie i samego siebie bez wydawnictw "Kultury". Sadzę, że bez nich wszyscy nie byłibyśmy takimi, jakimi jesteśmy.

Kwiecien 1986

Wiktor Kulerski

z tomu O "KULTURZE". Wspomnienia i opinie  
Wydawnictwo PULS, Londyn 1987.

Ania Tropicielka

## Chciałam zobaczyć pierestrojkę

Jestem uczennicą liceum ogólnokształcącego w Warszawie i tak, jak wielu moich kolegów, w ramach wymiany międzyszkolnej pojechałam tego lata do Moskwy.

Był to czas wielkich wydarzeń (zjazd KPZR, wizyta Michaiła Gorbaczowa w Polsce) i w związku z tym wiele się słyszało o "pierestrojce" i "glasności". Dlatego też wyjeżdżając do Moskwy, chciałam przede wszystkim zobaczyć to z bliska.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami mieliśmy być gośczeni w domach uczniów szkoły moskiewskiej, którzy później, w ramach rewizyty, na takich samych zasadach, mieli przebywać w Warszawie. Jakża więc nie miałym zaskoczeniem było zakwaterowanie nas w budynku dziesięcioletniej w centrum Moskwy. Warunki mieszkaniowe były okropne: w salach lekcyjnych stało po dziesięć "połówek", na których przez dziesięć nocy mczyłyśmy się trzesąc się z zimna. Do dyspozycji dwudziestu dziewcząt oddano trzy umywalki i trzy miski, ponieważ jedyny prysznic nie działał.

Zywiłiśmy się w szkolnej stołówce, do której dowozono posiłki, zawsze zimne i nieapetyczne, to samo na śniadanie, obiad i kolacje. Niezadowoleni z tych warunków, próbowaliśmy się dowiedzieć dlaczego nie mieszkamy w domach prywatnych. Powiedziano nam, że "władze nie wyraziły zgody", jedynie ostatni weekend przed wyjazdem możemy spędzić w domach naszych kolegów, których potem będziemy gościć w swoich domach. Pomimo tego, że ich rodzice bardzo chcieli nas przyjąć u siebie, gdy okazało się to niemożliwe, podporządkowali się zarządzeniom i kontakt został ograniczony do spotkań zapoznawczych.

Również cały program turystyczny, dość dobrze przygotowany, realizowany był bez udziału kolegów moskiewskich. Popołudnia mieliśmy wolne, zaopatrzone nas więc w bilety metra, tak, że samodzielnie musieliśmy się poruszać po ponad 9-milionowym mieście i kontaktów z rówieśnikami, wymiany myśli, poglądów praktycznie nie było. Poza tradycyjnym zwiedzeniem Kremla, muzeum Lenina i który podobno "teraz się umieszcza", umowa muzeum najciekawsze była moskiewska otula Moskwa jest przeładowana architekturą socjalistyczną, nie ma w niej dzielnic willowych - jedynym gwałtem Alla Bugajewa jak i gwiazdor Michaił Gorbaczow mieszkają w bloku. Furora robią polskie kobiety, są bardzo przystojne i drugie blok w metrze - w tym miejscu podobnie jak u nas. Takie same, jak u nas, kobiety do sklepów. Niedaleko szkoły, w której mieszkałam, był bardzo mały sklepik, bez szyldu. Nad jego kramem stała się przed nią duża kolejka. Dopiero po pewnym czasie udało mi się rozszkwirować, że jest to sklep z napojami. Wymimo długich przed nim kolejek na przelocie musiałam widzieć w ogóle pijaków.

Najbardziej podobny mi się fragmenty starej Moskwy "Arbat". Ostatnie przemiany w wyglądzie restauracji i sklepów są bardzo ciekawe. Widziałam kilka try-

cmentarzu, na którym znajduje się grób Włodzimierza Wysockiego. Otoczenie pomnika artysty zasiane jest kwiatami, codziennie nowymi. Wszystkie utwory Wysockiego są obecnie wydawane na płytach, zainteresowanie młodzieży nim jest ogromne. Na ulicach, w metrze widziałam wielu młodych ludzi nieocących pod pachą płyty Wysockiego.

Drugim przejawem "pierestrojki" jest ożywienie zainteresowania twórczością Bułhakowa. Podczas mojego pobytu w moskiewskim teatrze grano "Psie serce". Duże wrażenie wywarł na mnie wygląd domu autora "Mistrza i Małgorzaty". Dom ten, w którym mieszkali także Jesienin i Isadora Duncan, turyści dostojnie oblegają, zapisują ściany wyjątkami z "Mistrza i Małgorzaty", basiami w rodzaju: "Niech żyje Behemot!", ilustracjami do książki. Podobno ostatnio myśli się o utworzeniu muzeum w mieszkaniu pisarza.

Niestety tylko tyle z "pierestrojki" widziałam na ulicach. Bardzo chciałam się dowiedzieć, co myślał o tym moskiewczanie, a zwłaszcza młodzież. Jeden z kolegów moskiewskich, syn dyplomaty, przyznał, że Gorbaczow to "młodziec", ale nie zdola zmienić zaszciości historii, bo są zbyt wielkie.

Pobyt w domu Tani podczas weekendu stworzył możliwość rozmowy. Matka Tani to nauczycielka, "wysokopartyjna", ojciec - elektronik, także partyjny. Oboje dobrze zarabiający, posiadają mieszkanie o wysokim standardzie, gościnni, serdeczni. Na moje pytania o "pierestrojkę" odpowiedzieli, że jest, bo mówi się o niej w telewizji, ale ich, "prostych ludzi", bezpośrednio nie dotyczy. Nie czują potrzeby nikogo krytykować, krytykuje się na zjeździe, a oni są zadowoleni, więc jeśli nie będzie gorzej, to im "pierestrojka" odpowiada. Uderzyła mnie swoista logika myślenia matki Tani, przekonanej, że cały świat podziwia Związek Radziecki, a Polacy i Węgrzy biorą z niego przykład. Na moje pytanie, czy słyszała o polskiej "Solidarności", odpowiedziała, że nie. Stwierdziła natomiast, że "kryzys w Polsce nie jest ostateczny, bo kryzys mają także inne kraje socjalistyczne, a Związek Radziecki musi im wszystkim pomagać i dlatego sam też ma kryzys" (!).

Poruszona sposobem myślenia moich gospodarzy chciałam skonfrontować swoje wrażenia z wrażeniami polskich koleżanek. Okazało się, że w domach moskiewskich trudno było nam, Polakom, dostrzec objawy "pierestrojki".

Rewizyta moskiewskich kolegów, która nastąpiła w dwa tygodnie później, była dalszym ciągiem owej wymiany. Moja moskiewska koleżanka miała zapewne wiele szkodzących ją przeżyć! Mam nadzieję, że wpłyną one pozytywnie na zmianę jej widzenia radzieckiej rzeczywistości i wybrzeża o świecie.

Ania Tropicielka

# Książka dla czytelnika - jak to zrobić

Zamieszczony w poprzednim numerze tekst Andrzeja "Książka dla czytelnika" wywołał pewną reakcję wśród środowisk młodzieżowych, z którymi utrzymujemy bliskie kontakty. Pytano redakcję kto organizuje taką pomoc, gdzie zaność zebrane książki itd. W tej sytuacji poprosiliśmy Andrzeja o kilka konkretnych.

Red. - *Gdzie powinna zgłosić się osoba, która chciałaby w konkretny sposób pomagać Polakom w ZSRR?*  
 Andrzej - *Najlepiej nigdzie! Nawiązywanie kontaktów z Polakami z tamtej strony Bugu nie jest zadaniem dla centrali, sztabów i antykrzysowych komitetów. Nie chodzi bowiem o to, by przed każdą polską szkołą, przed każdą parafią katolicką w ZSRR raz w miesiącu wysyłać ciężarówką do miesiąc wysypywała tonę papieru nadrukowanego po polsku. Będzie znacznie lepiej, jeśli nas i dla nich, jeśli w ramach systematycznych kontaktów kilka czy kilkanaście tysięcy Maczków z Polski prześle raz na kilka miesięcy dobrą książkę kilku czy kilkunastu tysiącom Józków po tamtej stronie. Powinny to być działania indywidualne, najlepiej prowadzone bez żadnych rejestrów, statystyk, biurokracji. Te ostatnie mogą sprawić, która nam jest bliska wyłącznie szkodzą. Nie służą ani wzajemnemu poznaniu się, ani zrozumieniu.*

Red. - *Jak w takim razie uczeń z Pszczyny czy Złotowa, student z Wrocławia czy Poznania ma znaleźć swojego rówieśnika - Polaka z ZSRR? Czy adresy brać z propozycji w prasie młodzieżowej, z książki telefonicznej Wilna czy Leningradu?*

A. - *Nie, byłaby to oczywiście przesada. Prawda jest, że wielu Polakom brakuje polskiej książki, kontaktu z polską kulturą, jednak wysyłanie książek na ślepo pod zupełnie przypadkowe adresy byłoby topieniem ich w błocie. Ogromna większość z nich nie byłaby nigdy otworzona.*

Red. - *Czy mamy przez to rozumieć, że możliwa jest sytuacja, kiedy wysyłając polską książkę - nawet bardzo dobrą książkę - nie mamy pewności, że ktokolwiek ją przeczyta?*

A. - *Tak, oczywiście. Złe wysłana książka nie znajdzie czytelnika nigdy. W czasie swojej ostatniej wizyty za Uralem odwiedzałem parafię katolicką w miejscowościach, gdzie były całkiem spore grupy obywateli ZSRR polskiego pochodzenia. W kościele parafialnym leżały wylóżone polskie książki pochodzące ze zbiorów z kraju. Wystarczyło przyjść i wyciągnąć po nie ręką. Niestety nie było chętnych.*

Jeśli przekazujemy polską książkę do ZSRR, musimy być przekonani, że jest ona tam potrzebna, że będzie czytana. Jeśli nie - będzie lepiej, gdy zostanie w kraju. Największy "głód" polskości panuje na terenach włączonych do ZSRR "ostatnio" - na wschodnich ziemiach II Rzeczypospolitej. Tam przede wszystkim powinniśmy adresować nasze przesyłki.

Red. - *Skąd jednak wziąć adres, jak nawiązać pierwszy kontakt?*

A. - *Są dwa podstawowe sposoby. Jeden prostszy - drugi lepszy. Sposób pierwszy - poprosić o adres osobę, która ma liczne kontakty w ZSRR i sama od pewnego czasu zajmuje się wysyłką książek. Takie kontakty ma np. wielu księży systematycznie jeżdżących do ZSRR. Zalecane pierwsze sposoby jest fakt iż nasze książki trafiają w dobre ręce, wada - iż wysyłamy je na adresy już znane. Lepiej jest gdy potrafimy odnaleźć sami nowego odbiorcę, nowego adresata, który do tej pory książek z kraju systematycznie nie otrzymywał. To umożliwia sposób drugi.*

Sposób drugi rozpoczynamy od zdobycia dobrej książki. Na początek może to być Pismo św., "Krzyżacy", "Płocówka", "Pan Tadeusz", "Syzyfowe prace" czy inna książka, dla której stosunkowo łatwo można znaleźć czytelnika. Dajmy taką książkę (tylko jedną!) osobie wyjeżdżającej do ZSRR (może samą się tam wyślemy jeśli to możliwe). Niech postara się znaleźć w ciągu całego swojego pobytu jedną (1) osobę, której ofiarowanie tej właśnie książki sprawi rzeczywiste przyjemność. To będzie właśnie nasz KONTAKT. Po pierwszej książce możliwe będzie nawiązanie korespondencji, wysyłanie kolejnych książek, która znajda swojego czytelnika.

Dobrym sposobem jest również proponowanie książek osobom przyjeżdżającym czasowo do Polski. Należy jednak zawsze pamiętać - dajemy tylko osobom, które chcą nie tylko książkę. Nigdy nie wstawajmy jej na siłę. Jeśli ktoś nie uważa, że jest zdolny samemu nawiązać kontakt, możemy się oczywiście wia-

czyć do akcji zbiorów książek dla polskich szkół czy parafii organizowanych przez kościół czy różne organizacje niezależne. Nie jest to jednak - jeszcze raz to podkreślam - rozwiązaniem najlepsze.

Red. - *Jeszcze ostatnie pytanie. Mamy już swój adres - co w takim razie wysyłać?*

A. - *Szukając książki do wysłania musimy pamiętać, kto jest naszym czytelnikiem. Nawet na ziemiach należących niegdyś do II Rzeczypospolitej znajomość polskiego jest generalnie bardzo słaba. Tylko starsze pokolenie posługuje się językiem polskim biegle w mowie i piśmie. Rówieśnicy czytelników WG we Lwowie, Stanisławowie czy Stryju mają zwykle ogromne trudności z mówieniem a przede wszystkim pisanem i czytaniem po polsku. Nie zapominajmy, że to już trzecie pokolenie wychowane w ZSRR. Językiem polskim jako ojczystym w urzędzie, sądzie, szkole, posługiwali się ich dziadkowie czy nawet pradiadkowie. Jeszcze trudniejsza sytuacja panuje na terenach gdzie Polacy żyją w ZSRR od 1917 roku. To już ponad 70 lat bez kontaktu z krajem. Na takich terenach zainteresowanie polskością wciąż jest zjawiskiem wyjątkowym.*

Często wśród młodzieży otwartej na kontakty z krajem spotkać można osoby, które wbrew czy przy obojętnej postawie własnych rodziców starają się odnajdywać własne korzenie - odkrywają dopiero język, kulturę, religię przodków. Ta młodzież języka polskiego nie poznaje w domu. Uczy się go tak jak my uczymy się języka obcego.

Co wysyłać? Ogromna większość osób otwartych na kontakt z nami jest wierząca. Brak książek religijnych, modlitewników, katechizmów, Pisma św.. Znajdziemy odbiorców każdej książki religijnej.

Wśród osób starszych oraz młodzieży dobrze mówiącej po polsku ogromne wzięcie ma klasyka polska - Mickiewicz, Sienkiewicz, Prus. Młodzież w wieku akademickim interesuje się często dobrą piśmienną niezbyt hermetycznym językiem książka historyczna (Jasienica), może powieści Malewskiej), szczególnie pozycjami z najnowszej historii Polski.

Rodzicom z małymi dziećmi zawsze warto wysłać to, co sami najchętniej czytali byśmy naszym pociechom w domu - wiersze Tuwima, Brzechwy, "Plastusiowy Pamiętnik", "Przygody Misia Uszatka" czy książki Wojtyłki. Dla nastolatków pamiętajmy o książkach Malgorzaty Musierowicz.

Może kontakt z naszymi rówieśnikami nawiążemy dzięki naszym wspólnym zainteresowaniom (sport, turystyka, muzyka, mikrokomputery) - to też może być przecież droga wiodąca do Polski.

Generalnie rzecz biorąc najłatwiej zaczynać kontakt od książki religijnej lub klasyki. Po pierwszych listach, czy wzajemnych odwiedzinach sami zorientujemy się jakie książki będą czytane - te należy wysyłać.

Red. - *Dziękujemy za rozmowę*

\*\*\*

W maju ub. roku powstało w Wilnie Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie. Można się było o tym dowiedzieć także z prasy oficjalnej. "Polityka" nr 45(1644) z 5 listopada ub. roku zamieściła list p. Eugeniusza Kurzawy informujący o powstaniu Stowarzyszenia oraz apelujący o przysyłanie książek. Dla chcących skorzystać z tej, najprostszej, drogi podajemy ow adres:

Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie  
 al. Kosmonautów 60, 232019 VILNIUS, Litewska SRR

Wspomniany list zawiera też wiele mówiącą uwagę, która warto przytoczyć: *Chciałbym tylko zwrócić uwagę nadawcom paczek, aby poinformowali się o warunkach wysyłki, gdyż zbyt obfite paczki nie narażają na koszty odbiorców.*

Tych, którzy sadziliby, iż wobec państwowej akcji wysyłki książek nie potrzeba już nic więcej, pragniemy uspokoić - potrzeby są ogromne i jedna, czy nawet kilka ciężarówek książek wyprawionych na Litwę sprzed Telewizji, to o wiele za mało. Od wielu lat akcja wysyłania książek prowadzi bez rozgłosu rozmaite środowiska, w tym niektóre drużyny harcerskie i sędziny, że zajęcia wystarczą nam jeszcze na długie lata. Tym bardziej, że nie wiadomo, czy wkrótce nie skończy się dobra koniunktura i nie minie państwowa "moda" na "braci Polaków zza Bugu".

Red.

W następnym numerze: Książki i co dalej?



## REFLEKSY/JE

M. Stefański

Blaski i cienie  
życia nekanych

Zdarza mi się, choć rzadko, czuć w PRL nienajgorzej. Nasza (?) władza państwowa - Nieprzyjacieli Natury Ludzkiej - ma jednak możliwości ograniczone. Nie może przecież zabronić mi radować się z szybkiej jazdy "Komarem", nie może zabronić mi uśmiechać się do pięknej dziewczyny (trzeba współczuć tej dziewczynie), nie może zabrać mi duszy - choć może zabrać mi ducha.

Przyjechał Biskup Rzymu - cieszę się! Wyjechał Gorbaczow - jakże się cieszę! Ach, młodości, podaj mi lustro!

Często cieszyłem się kibicując VIP-olom. Ich osiągnięcia zrodziły we mnie stumyczek nadziei. Ale jeden znajomy Wipol, którego podziwiam szczerze za jego niezłomną walkę w obronie swej cywilności - nie zawsze ma twarz uśmiechniętą. Trudno się dziwić - VKU stała się jego drugim domem, z dzielnicowym wita ją prawie codziennie. Napięcie nerwowe, mimo osłabienia idea, jest niewątpliwie ogromne. Prawdziwie - znajomy mój znajduje się między młotem a kowadłem (każdy jest kowalem swego losu, jak powiedział młody, biegnąc w stronę demonstrantów).

Naciskany nieustannie od strony urzędowej, znajomy mój musi spać gorzko także w domu. Rodzice jego postawy nie akceptują, nie tolerują. Reakcje ich nie polegają wyłącznie na okazywaniu niechęci - z całego serca starają się go przekonać, nakłonić, uprosić. Stosują wszelkie środki: od milczenia, przez łzy, do krzyku. Kto chciałby ich od razu potępić, jest głupcem - nie rozumiejąc płaczu matki wyobrażającej sobie syna w kryminalu.

Napisałem na początku, że zdarza mi się czuć na tej ziemi nienajgorzej. Tak właśnie jest, gdy myślę o tym Wipolu. Oto człowiek, który niesie swój krzyż. Coraz mniej ma powodów do śmiechu, coraz więcej do nadziei. Młodym brakuje autorytetów? - jestem zdumiony. Otwórzcie oczy, Dziewczata i Chłopcy! Bez cienia wątpliwości - przechadzają się wśród nas ludzie godni podziwu. Cieszę się!!!

Tak ucieszony wracam do watku rodziców. Uważam, iż analiza trójstronnych stosunków: państwo-rodzice-dzieci, postawiłaby wszystkie włosy na głowach niezależnych oświatowców. To, co pisze niżej, to tylko próba delikatnego potargania czupryn.

Na temat relacji rodzice-dzieci słyszę zazwyczaj narzekania: na zwarcholone, smarkate, niewdzięczne dzieci lub na nieodpowiedzialnych, zalkoholizowanych, nieoświeconych rodziców. Konflikt mojego znajomego Wipola z rodziną wyłamuje się z takiego schematu. Myślę, iż podobny typ stosunków rodzinnych występuje w bardzo wielu polskich rodzinach. Prawie wszyscy z VIP-u, FMW, młodzi KPN-owcy, NZS-owcy, pomarańczowo-alternatywni, niezależni harcerze czy zaangażowani uczestnicy ruchów kościelnych - mają wobec swoich działających domową opozycję. Kiedy młodzi działacze przestają być młodzi, do takiej opozycji przechodzą zazwyczaj oprócz rodziców i starszego rodzeństwa żona, teściowie i rodzice chrzestni kolejnych dzieci działacza.

Takie stosunki rodzinne są czymś nienormalnym. Naturalne konflikty polegają bowiem na tym, że rodzice przeciwstawiają się tym działaniom dzieci, które uważają za nierozsądne, niemoralne czy niepotrzebne. Natomiast pletnowanie antypaństwowości jest o tyle specyficzne, iż często rodzice w pełni zgadzają się z poglądami dzieci. Konflikt nie rodzi się wówczas na płaszczyźnie przeciwstawnych racji - rodzi się z chwili podjęcia przez dziecko konkretnych działań, które w rozumieniu rodziców mogą ściągnąć na jego głowę prześladowania i nieszczęścia.

Nienormalność takiej sytuacji rodzi dla obu stron stan udrczenia, pojawiają się wzajemne pretensje i żądania. Sytuację tę uważam za efekt działań demonicznych Nieprzyjaciela, który już ponad czterdzieści lat ściga nas i męczy.

I tak na zmianę - ciesząc się i męcząc, życze Czytelnikom i sobie jak najrychlejszego powrotu do normalności.

M. Stefański

SPRAWOZDANIE  
FINANSOWEZespołu Oświaty Niezależnej  
za rok 1988

## I. Działalność wydawnicza - 30,4 % wydatków

W roku 1988 Zespół Oświaty Niezależnej finansował prace następujących redakcji: "Tu, Teraz", "Wielkiej Gry", "Edukacji i Dialogu", "Okienka" oraz Zeszytów Edukacji Narodowej. Dofinansowywał druk czasopism oświatowych i ZEM-ów rozprawdzanych po cenach niższych niż koszty produkcji, uczestniczył w kosztach kolportażu. Dzięki pomocy finansowej ZON w roku 1988 ukazały się następujące publikacje: 10 numerów "Tu, Teraz", 6 numerów "Wielkiej Gry", 9 numerów "Okienka", 2 numery "Edukacji i Dialogu" oraz następujące pozycje książkowe: Jan Karcki, *Wielkie mocarstwo a Polska (t.1 - Od Wersalu do Września, t.2 - Od Września do Jalty)*; Ludwik Mielnicki, *Skrzydłone sztandary PPS*; Aleksander Kamiński, *O harcerstwie (Teksty zapomniane 1956-1978)*; Tadeusz Zenczykowski, *Dwa komitety*; Salomon An-ski, *Dybuk*; Wacław Wyrwa, *Co robić, kiedy wszystko można*; Andrzej Pomian, *Wierność czy trwanie. Dylematy harcerstwa lat 80-tych*; *Glossariusz nr 3 (Od klasycyzmu)*. *Materiały do nauki języka polskiego w klasie II szkoły średniej*.

## II. Dotacje na działalność oświatową w terenie -

19,5 % wydatków

Dotacjami, skierowanymi na działalność samokształceniową (biblioteki, odczyty, wesechaice) i wydawniczą, objęto następujące ośrodki: Wrocław, Łódź, Nowa Huta, Lublin, Gorzów Wlkp., Kraków, Poznań, Gdańsk, Gliwice, Przemysł, Łowicz, Gniezno, Wałbrzych, Starogard Szcz., Racibórz, Toruń, Starachowice, Miatno.

## III. Dotacje na działalność młodzieżową -

19,6 % wydatków

Z dotacji korzystały organizacje młodzieżowe typu MKO, FMW, RME, WiP, Pomarańczowa Alternatywa, redakcje pism młodzieżowych, środowiska niezależnego harcerstwa, organizatorzy kolonii letnich i obozów dla młodzieży.

## IV. Niezależne inicjatywy społeczne - 15,3 % wydatków

Jednorazowe dotacje na pozytywne inicjatywy społeczne potrzebujące wsparcia: "Archiwum wschodnie", duszpasterstwo nauczycieli na Solcu, komputerowe centrum informacyjne, komputerowe programy edukacyjne, seminarium "Wychowanie dla demokracji", szkoła społeczna, pomoc dla Armenii i inne.

## V. Szkoła sitodruku - 2,5 % wydatków

Wyszkolono 10 ekip drukarskich z terenu całego kraju. Wydatki na sprzęt, materiały, lokale.

## VI. Biblioteka Oświaty Niezależnej (BON) - 2,6 % wydatków

Centralna Biblioteka Oświaty Niezależnej działa poprzez kilkanaście punktów bibliotecznych na terenie Warszawy. Wydatki na zakup książek, katalogowanie, ryczałty dla bibliotekarzy.

## VII. Pomoc społeczna - 1,2 % wydatków

Wydatki na pomoc dla osób związanych z działalnością oświatową w ciężkich przypadkach losowych, pomocy w szczególnych przypadkach.

## VIII. Stypendia - 5,1 % wydatków

Przyznawane osobom podejmującym długotrwałe prace zleczone przez ZON.

## IX. Wydatki organizacyjno-techniczne - 3,5 % wydatków

Archiwum, materiały biurowe, niezbędny sprzęt, koszty pobytu delegacji zagranicznych, wysyłka prasy za granicę itp.

\* \* \*

Powyższe sprawozdanie przyjęła do wiadomości i zaakceptowała Rada Edukacji Narodowej

Zespół Oświaty Niezależnej wyraża głębokie i serdeczne podziękowanie wszystkim osobom i instytucjom, które udzieliły nam pomocy.

# Stanisław Barańczak

## Wielka skakanka

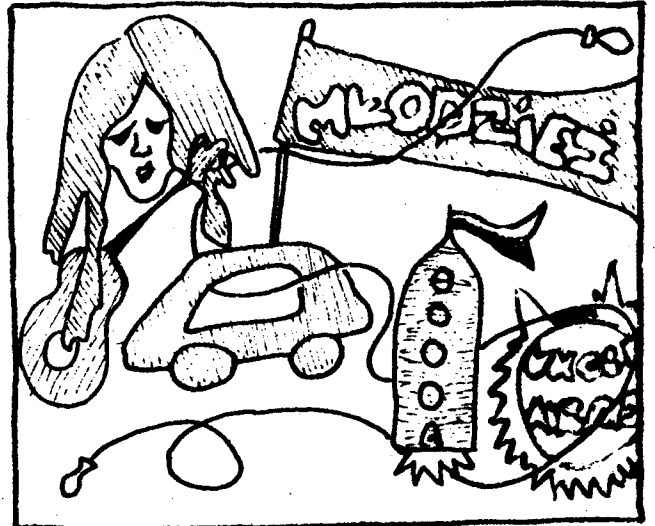
Wowo Bielicki: Scenariusz manifestacji młodzieży polskiej z okazji 35-tej rocznicy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Warszawa, 1 lipca 1979. Maszynopis do użytku wewnętrznego.

Najpierw przez całą godzinę stadion się rozgrzewa. Ćwicząc wspólne skandowanie spontanicznych okrzyków. Potem 35 (słownie trzydziestu pięciu) trębaczy odgrywa hejnał Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. "Z ostatnią nutą Hejnału - proponuję, nie szzczędzać dużych liter, reżyser Wowo Bielicki - na Trybunę Honorową wchodzi Goście Manifestacji z Pierwszą Osobą". Owacja. Pojawia się 300 (słownie trzysta) pocztów sztandarowych. Grają orkiestry dete PKS i PKP. Wzlatują w niebo balony unoszące flagi narodowe. Przemawia przedstawiciel Federacji ("tekst własny - w przygotowaniu"). "W trakcie przemówienia młodzież okrzykami i oklaskami manifestuje solidarność z treścią przemówienia". Komentator przystępuje do "Apelu Obecnych". "Czy jest obecna Młodzież Polska? - Młodzież: Jesteśmy! - Czy jest obecny Kawaler Orderu Budowniczych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej - Literat Jarosław Iwaszkiewicz? - Jarosław Iwaszkiewicz: Jestem!". Z tunelu wkracza "majestatycznym krokiem" Mirosław Hermaszewski, a orkiestra Teatru Wielkiego gra na jego cześć "Symfonia Powitalna dla Kosmonautów" Czesława Niemena. Generali Piotr Klimuk wygłasza "rosyjski tekst własny". Płk Hermaszewski dorzuca swój "osobisty głos solidaryzujący się z manifestantami" i wznosi kilka słusznych okrzyków. Młodzież z 49 województw składa meldunki na rece Pierwszej Osoby. Pierwsza Osoba wygłasza "tekst własny". Dziewczeta wręczają kwiaty, a Dostojni Goście przemarszerowują pomiędzy pocztami sztandarowymi z jednej strony stadionu na drugą. Młodzież "okrzykami NIECH ŻYJE! daje wyraz szacunku i uznania dla wybitnych obywateli narodu polskiego - tekst w przygotowaniu".

To jeszcze nic, teraz dopiero się zaczyna. Czolowi piosenkarze (Maryla Rodowicz, Krzysztof Krawczyk, Urszula Sipińska, Mieczysław Fogg i in.) śpiewają piosenki. Aktorzy ("dokładna lista zostanie przedstawiona w późniejszym czasie") recytują wiersze wielkich poetów w rodzaju Staffa, Tuwima, Broniewskiego, Henryka Gaworskiego i Marka Wawrzkiwicza. Z tunelu wyjeżdża 120 (słownie sto dwadzieścia) małych fiatów z wielkimi literami na dachu. Komentator: "Ten mały fiat jest także symbolem ogromnego kroku do przodu". Nad stadionem przelatują samoloty, puszczając smugi dymu w barwach narodowych, a jednocześnie fiaty ustawiają się tak, że litery na ich dachach tworzą różne napisy (MOTORYZACJA, NAWOZY, ZAMEK itp.). Komentator w imieniu całego narodu dziękuje za wszystko "tym, którzy nami wszystkimi kierowali i kierują nadal", intonując okrzyki w rodzaju: "Niech żyje naród polski i jego wielki przywódca Edward Gierek!". Z helikoptera wyskakują spadochroniarze, dymiąc w barwach narodowych i układając się w kształt rzymskiej dziesiątki. 900 (słownie dziewięćset) studentów AWF wykonuje piramidę. Wreszcie jest i coś do śmiechu: "Na murawie boiska wbiega 49 delegacji wojewódzkich do rozegrania 3-minutowego meczu pod hasłem: Która drużyna skacząca na 15-metrowej skakance zmiesci najwięcej zawodników. A jeżeli zmieszczą wszystkich 40 zawodników, to kto dłużej wytrzyma?". Prowadzi konkurencję i gwizdże w gwizdek redaktor Tomasz Hopfer. Orkiestry wojskowe w sile 1300 (słownie tysiąc trzystu) muzyków demonstrują w marszu musztrę i wykonują jednocześnie Poloneza A-dur Chopina (komentator równocześnie zapowiada, że tego typu zadanie muzyczne przedsięwzięto po raz pierwszy na świecie"). Dostojni Goście opuszczają stadion, trębacz trąbią, młodzież wznosi okrzyki i śpiewa "Ukochany kraj". Reżyser Wowo Bielicki udaje się do kasy po zasłużone honorarium.

Myślisz może, sceptyczny czytelniku, że to sobie wymyśliliśmy? Że to jakaś parodia? Że, aby wykpić Federację ZSMP, sięgnaliśmy do scenariuszy zjazdów Hitlerjugend lub uroczystości koronacyjnych cesarza Bokassy? Otóż nie: scenariusz jest autentyczny, reżyser Wowo Bielicki również istnieje, a cała uroczystość odbyła się 20 lipca 1979 roku na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie i można ją było nawet obejrzeć w telewizji. W gruncie rzeczy coś w tym

wszystkim dziwnego? Chopin grany przez 1300 puzonów, Hermaszewski w objęciach Niemena, 120 małych fiatów tworzących napis HUTA KATOWICE, balony, samoloty i helikoptery dymiące w barwach narodowych, osiemdziesięcioletni luminarz literatury zrywający się z miejscą z okrzykiem JESTEM!, Urszula Sipińska wśród 300 pocztów sztandarowych, Henryk Gaworski w roli poety, piramida z 900 studentów AWF (zapewne ze znaną nam Jerzym Folcikiem na szczycie), Pierwsza Osoba wygłaszająca "tekst własny", wreszcie bajeczny pomysł z 49 skakankami - toż to Polska właśnie, to nasza rzeczywistość, wszystko z życia wzięte! Manifestacja wyreżyserowana przez Wowo Bielickiego tylko z pozoru jest szaleńczym skrzyżowaniem wlewu w maciostowski Pekinie z występem cyrku "Moskwa" i odpustem w Skierniewicach. W istocie jest to znacznie bardziej realistyczne odbicie rzeczywistości niż niejedna powieść Jerzego Putramenta, wiersz Ernesta Brylla lub film Boh-



dana Foręby. Właśnie z Hermaszewskiego, małego fiata i Maryli Rodowicz składa się przecież to wszystko, co Dostojni Goście z Pierwszą Osobą na czele mają Polsce do zaoferowania. No i jest jeszcze skakanka. Skakanka, która w tym hiperrealistycznym widowisku może nawet służyć jako tak zwana wielka metafora.

Stanisław Barańczak  
(z tomu "Książki najgorsze")

W bieżącym roku mija dziesiąta rocznica opisaną wyżej manifestacji. Przypominając teraz ten tekst, dedykujemy go autorom pomysłu, by pracą Komisji ds. Młodzieży Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie połączyć z zorganizowaniem kongresu niezależnych ugrupowań młodzieżowych (niezależne Forum Młodych). Nie po to, by cokolwiek wypracować lecz przede wszystkim żeby wyrazić zorganizowane poparcie dla Wałęsy i jego Komitetu. Ten wspaniały pomysł zaprezentowano na spotkaniu Komisji z przedstawicielami rozmaitych środowisk młodzieżowych w dniu 22 stycznia. Nawiasek mówił, nisko musi cenić Lecha ktoś, kto uważa, że potrzebne mu są takie sztucznie organizowane wyrazy masowego poparcia. Zamiast helikopterów byłyby pewnie "pershingy", tylko skąd dziś wziąć sznurek na skakanki? (sp)



WYDAWNICTWO  
SPOŁECZNE  
KOS

cena 80 zł